


ADAM ASNYK [El...y]

POEZJE

**PUBLICZNOŚĆ
I POECI**

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Publiczność do poetów

Wiecznie śpiewacie na tę samą nutę!
Śpiewacie rozpacz dziką i bezbrzeżną,
Serca przedwczesną goryczą zatrute
I melancholie mglistą a lubieżną,
Senne miłości szpilkami przekłute,
Rany zadane jedną rączką śnieżną,
I omijacie skrzętnie każdą radość -
Strojąc się w duchów księżycową bladość.

Po tysiąc razy te same westchnienia
Ślecie do oczu niebieskich lub czarnych,
Do drobnej nóżki, krągłego ramienia
I różnych kształtów mniej lub więcej zdarnych
I umieracie jak Tantal z pragnienia,
Pełni poświęceń i bohaterstw marnych,
A choć się który czasem w rymie potknie,
To jednak lubej ręką swą nie dotknie.

Zawsze ach ona! z tą twarzyczką cudną
Serca wam bierze na straszne tortury;
Spojrzy się... przeżyć jej spojrzenie trudno!
Odwróci oczy... świat się kryje w chmury,
Wszystko stracone, ona jest obłudną -
Dokoła ciemność i smutek ponury!

I nie zostaje nic... o srogi losie!
Jak ginąć w mękach na sonetów stosie.

Wiecznie te same klęski bezprzykładne
I te piękności boskie, nadzwyczajne,
Te bujne włosy, te ruchy układne,
Różane usta, słodkie, życiodajne,
Te oczy pełne miłości a zradne,
Które wyczerpał brylantowy Heine,
Te brwi, te rzęsy, te perłowe ząbki,
Te kwiaty w włosach i szat białe rąbki.

I pełno wszędzie słów pieszczonych szmeru,
Co płyną jako śpiewne wodospady,
I pełno woni zbyt słodkiej eteru,
Pełno lamentów, zniszczenia, zagłady,
Zmarnowanego życia i papieru,
I potępieńców pośmiertnej biesiady...
Co wszystko snuje się z jednego wątku,
Z kapryśnej pozy ładnego dziewczątka.

Dosyć już mamy tych rozkoszy dreszczów
I tych uśmiechów niby ironicznych,
Błdych księżyców, mgły i krwawych deszczów,
Niezrozumiałych potęg demonicznych;
Dosyć już mamy tych łabędzich wieszczów,
Którzy konają w bólach ustawicznych,

I tych ubóstwień, rozanień, szataństw,
I tym podobnych rymowych szarlataństw!
Co nam do tego, że wam bohaterki
Przysięgną miłość, a potem was zdradzą?

Zapewne są to dość znaczne usterki,
Lecz wartoż za to świat malować sadzą?
I wulkaniczne puszczać fajerwerki,
Co się nikomu na nic nie przydadzą?
Warn się to piękne zdaje w waszym rymie,
A my się za to musi m krztusić w dymie.

Miłość jest piękną bez wątpienia rzeczą
I ma w poezji stare jak świat prawa -
Lecz trzeba, żeby miała twarz człowieczą,
Żeby tryskała życiem jej postawa:
Śmieszna się staje, gdy ją okaleczą
I kiedy wyjdzie wybladła i krwawa.
Co by ach! na to Afrodytę rzekła,
Gdyby widziała was i wasze piekła!

Nie zrozumiałaby zapewne wcale,
Że przemawiacie miłości językiem,
Widząc was w jakimś Orestowym szale,
Z spojrzeniem błędnem, pochmurnem i dzikiem,
Na samobójców chwiejących się skale,
Uragających niebu wykrzyknikiem...

Pewnie by pierś swą zasłoniła twardą
I porzuciła was z gniewem i wzgardą.

Wprawdzie dziś ona, ta naga, ta grecka!
Złej już opinii na świecie używa -
Sentymentalność gorą dziś niemiecka,
Co się w mgłach kąpie i we mgłach rozpływa;
I cała młodzież porządna, kupiecka,
Przed jej posągiem oczy swe zakrywa
I marzy wsparta na łokciu w sklepiku -
O idealnym bardzo kaftaniku.

Wiemy, że trzeba kształty posągowe
Wy pełnić wyższy m tchnieniem ideału,
Na nagi marmur rzucić światło nowe,
Moc czarodziejską dać pięknemu ciału;
Wierzmy także w zachwyty duchowe,
Ale nie chcemy wiecznego rozdziału
Pomiędzy duchem nieschwyconym w locie -
A biednym ciałem, co się tarza w błocie.

Chcemy tej zgody, harmonii i ciszy,
Która piękności pierwszym jest warunkiem,
Chcemy tych dźwięków, które każdy słyszy
Na swoich ustach drżących pocałunkiem,
Ale nie wrzasku szalonych derwiszy,
Co upojeni narkotycznym trunkiem,

Kręcą się w kółko bez tchu i pamięci
I myślą, że to świat się cały kręci.

Chcemy tych natchnień, co by w życia zdroju
Ukazywały nową piękną stronę,
Które by naprzód biegły w każdym boju
Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone,
Co by rzeźbiły w klasycznym spokoju
Dumne postacie, wawrzynem wieńczone,
I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
Zdrowe pragnienia budząc w zdrowym ciele.

Lecz wy, księżycu kochankowie smutni,
Nie macie na to w piersiach dosyć siły!
Każdy z was wsparty na złocistej lutni,
Wpółpochylony do ciemnej mogiły,
Słucha z przestachem dzikiej wichrów kłótni,
Nucąc o widmach, co mu się przyśniły,
A że ma głosik łagodny i cienki,
Lubią go słuchać młodziutkie panienki.

Przez to zyskuje do wielkości prawo
I na miłostkach, jako wieszcz, wyrasta,
Spogląda łzawo i śmieje się krwawo,
Bo już go chytra zdradziła niewiasta.
Pogardza światem, nauką, zabawą,
Tylko się gorzko uśmiecha i basta -

I poemata pisze ironiczne,
Bardzo piekielne, choć niegramatyczne.

Ironia wprawdzie ma swój wdzięk oddzielny
I może zasiąść na Parnasu szczycie;
Dużo jest prawdy w śmiałości bezczelnej,
Dużo piękności w jej bolesnym zgrzycie,
Gdy się na przedmiot targa nieśmiertelny,
Widząc, że wcielić nic zdoła go w życie,
Lub gdy odkrywa serc ludzkich sprzeczności
I śmiechem godzi dwie ostateczności.

Ale ironia, o panowie mili!
To nie gra w piłkę przyjemna i łatwa,
Którą by mogła zawsze, w każdej chwili,
Bawić się z szkoły wychodząca diatwa;
Ten jeszcze Heinem nie jest, kto się sili
Śmiać się i płakać, i w rymie pogmatwa
Dużo utartych wyrażeń cynizmu,
Z romantycznego wziętych katechizmu.

Dlatego radzim wam, wieszczowie nasi,
Niech wasze Muzy w locie swym odpoczną;
Niech się z was żaden nie dręczy, nie kwasi
Ani też skacze w otchłań zwątpień mroczną
Dla tej niewdzięcznej Maryni lub Kasi,
Niechaj nie pędzi w przestrzeń nadobłoczną

Roztrącać gwiazdy... bo nam tchu nie staje
Zdążyć za wami w tak dalekie kraje.

Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości,
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem
I budźcie w sercach pragnienie piękności;
Niechaj pieśń wasza będzie dobrym winem,
Co by nas mogło zagrzewać w starości,
Lecz nie szukajcie kłótni z Apollinem,
I gdy was rada nie powstrzyma nasza -
Wspomnijcie sobie losy Marsyasza!

14 grudzień 1869

Poeci do publiczności

Z pokorą nasze pochylamy głowy
Przed twoim sądem, o publiko gniewna!
Bo chociaż wyrok bezwzględnie surowy,
Jednak jest słusznym w gruncie, to rzecz pewna;
I przyznać musim, że nasz chór harfowy
I nasza nuta szpitalno-cerkiewna
Z całym przyborem schorzałej fantazji
Jest dziś najgorszym rodzajem inwazji.

Po zgasłych wieszczach w ręce słabe, drżące,
Wzięliśmy lutnie, w których pieśń czarowna
Spoczywa w tonów ubrana tysiące,

Boleścią całych pokoleń wymowna.
Smutno nam słyszeć te echa mdlejące,
Smutno nam wiedzieć, że ta moc cudowna,
Potrząsająca niegdyś ludzi tłumem
Niezrozumiałym stała się dziś szumem.

Straszno nam strun tych dotykać natchnionych,
Co się prężyły jako serca żywe,
Co miały siłę rozbudzać uśpionych
I smagać biczem umysły leniwe;
Straszno nam stanąć wobec tych zniknionych,
Rozrzucających piękności prawdziwe,
I pieśń podnosić wśród gawiedzi syków,
Pieśń przygnębionych wstydem niewolników.

Znamy swą niemoc, węża, co nas dławi
I opasuje w swe skręty potworne;
Znamy ten obłąd, co nas z wolna trawi
I z piersi dźwięki dobywa niesforne;
Wiemy, że śmieszni jesteśmy, choć łzawi,
I tak bezkształtni, jako mgły wieczorne,
Ale uznając wszystkie nasze winy,
Chcemy wam złego odsłonić przyczyny.

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wiek bez marzeń, złudzeń i zachwyty,
Obojętnego na widok piękności,

A więdącego z nudy i przesytu,
Wiek, co wczesnej doczekał starości,
Sam podkopawszy prawa swego bytu,
Wiek, co siły strwonił i nadużył,
Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył.

Wzrosliśmy także wśród dziwnego świata,
Co się zapalu i uniesień wstydzi,
Co każdym wzniosłym uczuciem pomiata,
I wszędzie szuka śmieszności i szydzi;
Bawi go jeszcze arlekińska szata,
Lecz ani kocha, ani nienawidzi!...
I to jest nasze największe przekleństwo:
Otaczające nas dziś społeczeństwo!

Jego bezduszna, chłodna atmosfera
Już od kolebki duszę nam otacza,
Dziewiczą barwę szyderstwem z niej ściiera,
Żadnej świętości marzeń nie przebacza;
Nic więc dziwnego, że ogień zamiera,
Że się fantazja krzywi i wypacza,
Bo tam, gdzie w sercach bezmyślność i bierność,
Krzewić się może jedna tylko mierność.

Każda epoka, co ze swego łona
Wydała pieśni potężnej olbrzyma,
Nosila wyższej idei znamiona,

Pewien wzór piękna mając przed oczyma,
I sama była miłością natchniona,
Drżąca jak lutnia, którą śpiewak trzyma,
I on dlatego wielkim być nie przestał,
Że miał słuchaczów serca za piedestał.

On zbierał tylko marzenia tęczowe,
Które duch ludu z piersi swej wysnuwał,
Tylko im polot dawał i wymowę,
Ujmował w kształty i w przyszłość posuwał;
Więc kiedy stworzył potężną budowę,
Każdy jej wielkość i prawdę odczuwał,
Bo znalazł wszystko tam ubrane w ciało,
Co w jego piersi niewyraźne tlało.

Potrzeba było młodzięczego wieku,
Pełnego ognia, wrażeń i prostoty,
Wykarmionego na cudownym mleku,
Zbrojnego w wszystkie bohaterskie cnoty;
Potrzeba było, ażeby w człowieku
Wykwitła siła nadziemskiej istoty,
Co dumnym czynem w niebiosa się wdziera,
Ażeby wydać ślepego Homera!

Potrzeba było dla niego tych czasów,
W których lud cały w pieśni rozkochany
Słuchał jej chciwie wśród laurowych lasów

I uzupełniał wątek podsłuchany.
I kiedy z długich pokoleń zapasów
Snuł się poemat wielki, niezrównany.
I gdy bohater i twórca rapsodu
Zarówno byli chlubą dla narodu!...

I zawsze w wieków minionym pochodzie
Z duchem społeczeństw szli śpiewacy w parze;
Co zakwitało w ludzkości ogrodzie,
To pieśń na swoje przeniosła ołtarze.
Grek hołdujący jasnych bóstw urodzie
Znalazł swój liryzm pieszczony w Pindarze,
A ile ognia tlało w jego łonie,
Tyle rozkosznych brzmień w Anakreonie.

Tak samo znowu, gdy po nocy długiej
Świat się odmłodził wiarą i krwią nową,
Gdy barbarzyńskiej ciosami maczugi
Zgruchotał całą przeszłość posągową,
Kiedy cudownie odżył po raz drugi,
Z całą fantazją świeżą, silną, zdrową,
Zaraz zaświecił podwójnym brylantem,
Wdzięcznym Petrarcką i surowym Dantem.

Szekspir, gdy stanął na dramatu szczycie,
Miał pod nogami wielką ludzi wrzawę,
Wybuchającą namiętnością życie,

Wielkie gonitwy o miłość i sławę.
A Goethe zastał myśl ludzką w rozkwicie,
Po złote runo wolności wyprawę,
Żądzę ziszczenia ideałów szczytnych
I uwielbienie wzorów starożytnych.

Lecz dziś gdzie znaleźć jaki sztandar wielki,
Który by porwał małoduszne zgraje?
Wszechwładnej niegdyś cudów rodzicielki:
Młodzieńczej wiary - świat już nie wyznaje;
Nikt się nie zwraca do tej karmicielki,
Co sercom ludzkim wieczną młodość daje,
I nie zostało nic z anielskich wizji,
Prócz niedowiarstwa albo hipokryzji.

Piętrzą się jeszcze gotyckie świątynie
I wieżycami pną się między chmury,
I dym kadzideł jeszcze w niebo płynie,
I lud się modli zimny i ponury;
Lecz nad tym jękiem, co bez echa ginie,
Nie ulatuje anioł srebrnopióry
I w chore serca pociechy nie leje,
I chłód śmiertelny z ciemnej nawy wieje...

Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
Który ożywiał niegdyś mężów dawnych,
Zabrakło cudów, zbrakło pokolenia,

Co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych;
Dzisiaj choć widzi m smutne poświęcenia,
Choć widzi m ludzi krwią swą marnotrawnych,
Przecież to wszystko tak marnie opada
Jak kwiat, któremu wewnątrz robak zjada.

Miłość ojczyzny?... Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale albo brzmi szaleństwem;
Nasi mężowie śpiąc na łożu miękkim,
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Za to, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę własną krwią oblany.

Miłość ojczyzny! To przedmiot zużyty
I pogrzebany z poległym rycerstwem,
Starannie w trumnie gwoździami przybity
I przytrzaśnięty pleśnią i szyderstwem,
A nad nim klęczy postać jezuity,
Co umarłego gorszy się kacerstwem
I lud poucza, że modna pobożność -
Tę ziemską miłość uważa za zdrożność.

Miłość ojczyzny!... Staroświeckie tema
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem,
Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,

Pokryte słodkim świętoszków lamentem;
Więc żeby wznawiać rzeczy, których nie ma,
Trza być półgłówkiem albo też studentem
I z Don Kiszotem błądzić po manowcach,
By kruszyć kopie na spłoszonych owcach.

A dziś podobna marzeń wybujałość
Jest w naszym świecie wielce karygodną,
Nasze powagi widzą w tym zuchwałość,
Która być może w straszne skutki płodną;
Przyznają wtedy pieśni doskonałość,
Gdy jest jak oni bezbarwną i chłodną,
I tak strzyżoną, jakby ogród włoski,
Mając ucięte i myśli, i głoski.

Więc nie dziw, że nikt ręką swą nie sięga
Po ten skarb w lutni ukryty ojczystej;
Dla martwych widzów - martwa to potęga,
I może kruszyć tylko pierś lutnisty,
I stać zamkniętą, jak ta czarów księga,
Przez długie wieki w ciszy uroczystej,
Póki epoka nie nadejdzie nowa,
Godna odczytać jej cudowne słowa.

Cóż więcej znaleźć?... Sława?... tej nie mamy,
Wszyscy mniej więcej jesteśmy niesławni
I nosim znaczne na honorze plamy;

Pod każdym względem zawsze niepoprawni,
O czystą wielkość zwykle mało dbamy
I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,
Gdy się stroimy w kawałek łachmanu,
Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Ten rozum stanu -wynalazek złoty!
Lepszy niż jaki płaszcz nieprzemakalny;
Pod nim bezpiecznie można szydzić z cnoty
I podkopywać przesąd idealny,
Można ojczyźnie różne czynić psoty
I łuk w nagrodę dostać tryumfalny,
Bo on zasłonić zdoła każdą sprzeczność,
Wszelki egoizm, wszelką niedorzeczność.

Istny talizman, który dobre wróżki
Roznoszą same jako płód krajowy
I polskiej szlachcie kładą pod poduszki,
A ta się naraz budząc z bólem głowy,
Na suchych wierzbach umie szczepić gruszki
I cycerońskiej nabiera wymowy.
Tak więc bez pracy, nauk i zachodu
Kraj się zapełnia gwiazdami narodu.

Przedmiot gotowy dla wieszczów przyszłości,
Będzie go można w gładkie rymy włożyć
I parafialne pozbierać wielkości,

I epopeję narodową stworzyć,
Co pozostanie *Iliadą* śmieszności;
Lecz my nie pragniemy owej chwili dożyć
I wolimy raczej na swych lutniach drzymać,
Niż próżny pęcherz powietrzem nadymać.

Cóż więc zostaje?... Pieśni erotyczne?
Ale i dla tych braknie w świecie wzorów,
Pogasły w piersiach ognie romantyczne,
Pełne świetności i pięknych kolorów,
A miłość cierpi suchoty chroniczne
I potrzebuje pomocy doktorów,
Co podtrzymują jej zbyt wątłe życie
Przez różnych środków drastycznych użycie.

Nasze anioły i nasze kobiety
Są w sentymenta ubrane po kostki,
Lubią poezję zajadać na wety
I lubią także bawić się w miłostki.
Któż by wyliczył ich wszystkie zalety?
Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki -
Prawdy w uczuciu... Lecz to rzecz zbyteczna,
Niemodna dzisiaj - nawet niebezpieczna...

Tym, czym są teraz, nie wzniecą tej walki,
Co się toczyła koło murów Troi;
Żadna nie zginie z rąk swojej rywalki,

Żadna się losów Julietty nie boi,
Bo każda z wdziękiem norymberskiej lalki
W balowej sukni na wystawie stoi
I z pochyloną, rozmarzoną główką -
Czeka na kupca, co płaci gotówką.

A Romeowie nasi nowocześni -
Są jak z żurnalu wycięte figurki;
Tacy bezduszni, tacy bezcieleśni,
Że z nich za ledwie zostały tużurki,
Które do taktu salonowej pieśni
Skaczą kadryle, walce i mazurki,
Wzdychając przy tym od czasu do czasu
Do diamentów, gazy i atłasu.

Krew tam nie kipi purpurowym warem
I nie upiększa ciał swoim szkarłatem,
Zmysły namiętym nie owiane czarem
Nie zakwitają egzaltacji kwiatem;
A to, co wschodzi, jest tak zwiędłym, starem,
Tak ariekińskim i tak karłowatym,
Że może służyć na pastwę dewotkom,
Co się pobożnym poświęcają plotkom.

Ale dla pieśni nie ma tam oparcia:
Tyle tam ziarna, co w pustym orzechu.
Te straszne dzisiaj czułych serc rozdarcia

Na drugi tydzień goją się w pośpiechu;
Do tragicznego zanim przyjdzie starcia,
Cała tragedia kończy się na śmiechu,
Skąd i poezja nasza nosi znamię,
Że jest szyderczą, gdy uczuć nie kłamię.

Trudno wymagać, by na takiej roli
Wytrysła natchnień prawdziwych obfitość;
Trudno geniuszu żądać aureoli
Tu, gdzie się tuczy sama pospolitość,
I trudno miłość śpiewać wśród swawoli,
Co budzi tylko wzdargę albo litość.
Trudno, ach! żądać dziś Anakreona,
Kiedy świat cały na bezkrwistość kona...

Potrzeba śmiać się więc na równi z wami
I razem z wami nad przepaścią płaszać;
Potrzeba kryć się ze swoimi łzami
I z własnych uczuć głośno się natrzęsać,
Karmić się co dzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
Potrzeba śmiać się... śmiać się i umierać...

Jeśli nas teraz potępić pragniecie,
Za nasze niemoc, nasze niedołęstwo,
Za rozrzucone poetyczne śmiecie,

Za skoszlawione pieśni czarnoksiężstwo,
Godzim się na to... Potępcie, gdy chcecie;
Przy was jest słuszność, przy was jest zwycięstw
Lecz tę rozważcie smutną okoliczność:
Tacy poeci, jaka jest publiczność!

28 grudzień 1869

Między nami nic nie było

Między nami nic nie było!
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych,
Nic nas z sobą nie łączyło
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków
Unoszących się w przestrzeni,
Prócz szumiących śpiewem lasków
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków
Zraszających każdy parów,
Prócz girlandy tęcz, obłoków,
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych, jasnych źródeł,
Z których serce zachwyty piło,

Prócz pierwiosnków i powojów
Między nami nic nie było!

5 kwiecień 1870

Zwiędły listek

Nie mogłem tłumić dłużej
Najsłodszych serca snów,
Na listku białej róży
Skreśliłem kilka słów.

Słowa, co w piersiach drżały
Nie wymówione w głos,
Na listku róży białej
Rzuciłem tak na los!

Nadzieję, którąm pieścił,
I smutek, co mnie truł,
I wszystkim to umieścił,
Com marzył i com czuł.

Tę cichą serca spowiedź
Miałem jej posłać już
I prosić o odpowiedź
Na listku białych róż.

Lecz kiedy me wyrazy
Chciałem odczytać znów,
Dojrzałem w listku skazy,
Nie mogłem dostrzec słów.

I pożółkł listek wiotki,
Zatarł się marzeń ślad,
I zniknął wyraz słodki,
Com jej chciał posłać w świat!

12 października 1869

Posyłam kwiaty...

Posyłam kwiaty - niech powiedzą one
To, czego usta nie mówią stęsknione!
Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty - niech kielichy skłonią
I proszą srebrną rosą jak łezkami,
Może uleci z ich najczystsza wonią
Wyraz drżącymi szeptany ustami,

Może go one ze sobą uniosą
I rzucają razem z woniami i rosą.
Szczęśliwe kwiaty! im wolno wyrazić

Wszystkie pragnienia i smutki, i trwogi;

Ich wonne słowa nie mogą obrazić
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;
Wzgardą im usta nie odpłacą skromne,
Najwyżej rzekną: „Słyszałam - zapomnę”.

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmieje
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej.

[2 sierpień 1870]

Ja ciebie kocham!

Ja ciebie kocham! Ach, te słowa
Tak dziwnie w moim sercu brzmią.
Miałaby wrócić wiosna nowa?
I zbudzić kwiaty, co w nim śpią?

Miałbym w miłości cud uwierzyć,
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzieńczy, dawny kształt odświeżyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?

Ja ciebie kocham! Czyż być może?

Czy mnie nie zwodzi złudzeń moc?

Ach nie! bo jasną widzę zorzę

I pierzchającą widzę noc!

I wszystko we mnie inne, świeże,

Zwątpienia w sercu stopniał lód,

I znowu pragnę - kocham - wierzę -

Wierzę w miłości wieczny cud!

Ja ciebie kocham! Świat się zmienia,

Zakwita szczęściem od tych słów,

I tak jak w pierwszych dniach stworzenia

Przybiera ślubną szatę znów!

A dusza skrzydła znów dostaje,

Już jej nie ściga ziemski żal -

I w elizejskie leci gaje,

I tonie pośród światła fal!

21 wrzesień 1869

Sonet

*Sie trennten sich endlich und sah'n nicht.
Nur noch zuweilen im Traum;
Sie waren längst gestorben
Und wussten es selber kaum.*

Kiedym cię zegnał, usta me milczały,

I nie wiedziałem, jakie słowo rzucić,

Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek Biały,
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić,
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały,
Dom mój daleko i nie mogę wrócić.

Tak mi boleśnie, żem odszedł bez echa,
A jednak lepiej, że żadnym wspomnieniem
Twych jasnych marzeń spokoju nie skłócę,

Bo tobie jutrznia życia się uśmiecha,
A ja z gasnącym żegnam się promieniem
I w ciemność idę, i już nie powrócę.

[16 wrzesień 1870]

Sonet

Niedługo może na przyszłości dzieje
Zostanie tylko blady cień wspomnienia;
Serdeczne ślady mroźny wiatr rozwieje
I wszystko zniknie we mgłach oddalenia.

Więc trzeba będzie zmusić do milczenia
Te drżące struny, z których pieśń się leje,

I grobowego wziąć pozór kamienia,
Co pogrzebaną pokrywa nadzieję.

Na taką przyszłość, co mgłą ołowianą
Rozpostrzeć może na błękitnym niebie,
Na taką przyszłość, ciemną i stroskaną,

Co ból i miłość zarówno pogrzebie...
Niechaj te słowa pamiątką zostaną
I niech przeżyją razem mnie i Ciebie!

Życzenie

Minęła wiosna, minęło lato,
I smutna jesień już mija -
Każdy dzień nową żegna mnie stratą
I resztę łez mych wypija.

Skończy się jesień, nadejdzie zima,
Pajęcza zerwie się przędza -
Serce chwil jasnych w locie nie wstrzyma...
Zostanie rozpacz i nędza.

I zima minie, i świat na nowo
Przybierze postać wiośnianą;
Lecz mnie nie zbudzi miłości słowo -

Umarli z grobu nie wstaną!

Na godach życia duchem i ciałem

Inni już będą przytomni...

Lecz niech ta, którą tyle kochałem,

Czasami jeszcze mnie wspomni!

6 listopad 1869

Ach, powiedz!

Ach, powiedz, powiedz! jaki Bóg

W nadziemskie ubrał cię szaty,

Abyś w piękności zbrojna łuk

Zburzyła promienne światy?

Ach, wobec ciebie nie ma nic!

Ty łamiesz prawa odwieczne,

I przed jasnością twoich lic

Promienie gasną słoneczne.

Niebiosa, ziemia, błękit wód, -

Wszystko przepada i ginie,

Gdy ty w piękności zbrojna cud

Stajesz na światów ruinie.

Olśniewasz wszystkie światy trzy

Białością swojego łona,
Rozkoszy dreszczem ziemia drży,
Kiedy obnażysz ramiona.

Z ust twoich pijąc słodycz róż,
Z pragnienia umrzeć by trzeba,
Ich ogień wstrząsa światem dusz
I pali najwyższe nieba.

A któż z śmiertelnych może znieść
Twą piękność w całym rozkwicie?
Kto może oddać tobie cześć
I jeszcze zachować życie?

Kto może myślą pieścić skroń,
Twych włosów bawić się splotem,
Kto pić namiętą może woń
I jeszcze nie umrzeć potem?

Tak jak konwalii biały kwiat
Usycha na twoim łonie,
Tak każdy zginąć byłby rad
Z uśmiechem szczęścia przy zgonie.

Lecz widząc ciebie, odejść znów
W samotne ziemi obszary...
Na te męczarnie nie ma słów,

I nie ma straszniejszej kary!

Więc powiedz, powiedz! jaki Bóg

Zrobił cię światów królową?...

Bo ja chcę umrzeć u twych nóg,

Byś mnie wskrzesiła na nowo!

1 stycznia 1870

Ty czekaj mnie!

Ty czekaj mnie, dziewczeczko cudna,

Pod tą wysmukłą topolą!

Przysięgam ci - choć to rzecz trudna,

Że wrócę - gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!

Będzie to wielką zasługą -

A jak się znajdzie dla ciebie mąż...

Nie każ mu wzdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu,

Dopóki serca ci stanie,

I wierzyć chciej mojemu słowu,

Że to ci skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szal -

Czekaj mnie pod tą topolą;
Chociażbym z grobu powstać miał,
Powrócę - gdy mi pozwolą.

5 kwiecień 1870

Rezygnacja

Wszystko skończone już pomiędzy nami!
I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie,
Wziąłem już rozbrat z tęsknotą i łzami,
I żyć, i umrzeć potrafię samotnie.

Dziś nic z mych piersi skargi nie dobędzie,
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą.
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie,
Pęknięte struny zadrzeć już nie mogą.

Nie ma boleści, co by mnie trwożyła,
Bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę,
Ogniowa próba dla mnie się skończyła,
I do cierpiących więcej nie należę.

I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi,
Żebym się po nie miał schylić ku ziemi...
I żaden zawód sił mych nie osłabi -
Przebytą męką panuję nad niemi.

Światowych uczuć nicość i obłuda
Już mnie nie porwie swym chwilowym szalem,
Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,
Więc i zwątpieniu ulegać przestałem.

Z całego tłumu zmyślonych aniołów,
Połyskujących tęczą swoich skrzydeł,
Została tylko szara garść popiołów
I wiotkie nici porwanych już sideł.

Dziś jeden tylko duch mi towarzyszy,
Co rezygnacji nosi ziemskie miano,
On wszystkie burze na zawsze uciszy
I da mi zbroję w ogniu hartowaną.

W tej zbroi - przejdę przez świat obojętnie,
Surowe prawdy życia mierząc wzrokiem,
Ani się gniewem kiedy roznamiętnię,
Ani się ugnę przed losu wyrokiem.

Patrząc się z dala na kłamliwe rzesze,
Na ich zabiegi o błyskotki próżne,
Kamieniem na nie rzucić nie pośpieszę
I pobłażania jeszcze dam jałmużnę.

Niech się więc kończy owa sztuka ładna,

Co się zwie życiem, w cieniu cichej nocy,
Bo żadna rozpacz i nadzieja żadna
Nad moim sercem nie ma już dziś mocy!

17 listopad 1870

Powrót piosenki

Piosnka, którą ukochana
Zwykła była mi nucić,
Piosnka dawno zapomniana
Przyszła sen mój zakłócić.

Jej melodia staroświecka,
Zapomniana od dawna,
Miała w sobie uśmiech dziecka,
A w łzę była oprawna.

Skąd się wzięła dziś na nowo
W sercu moim, któż zgadnie?
Ale słyszę ton i słowo,
Co mi dźwięczy tak ładnie.

Jeśli piosnki jak skowronki
Odlatują z jesienią,
A wracają znów na łąki,
Gdy się z wiosną zielenią -

To piosenki tej przybycie
I jej tchnienie miłosne
Może wróżyć nowe życie,
Przebudzenie i wiosnę.

Jeśli piosnki są, ach! tylko
Własnym cieniem człowieka,
Co tak duży ranną chwilką,
Z biegiem słońca ucieka -

A do dawnej wraca miary,
Kiedy słońce już nisko,
To ten powrót piosnki starej
Może wróżyć noc bliską.

15 luty 1870

Tęsknota

Obłoki, co z ziemi wstają
I płyną w słońca blask złoty,
Ach, one mi się być zdają
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne
Często nad ziemią obwisną,

Łzy po nich spływają rzewne,
Czasem i tęczą zabłysną.

Gwiazdy, co krążą w przestrzeniach
Po drogach nieskończoności,
Są one dla mnie w marzeniach
Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty
Te wielkie ruchome słońca...
I ja miłością przejęty,
Patrzę i tęsknię bez końca.

11 październik 1871

Anielskie chóry

Anielskie śpiewają chóry
W gwiaździstym błękitów morzu,
Wśród nocnej ciszy, przy łożu
Sennej natury.

Śpiewają tej biednej ziemi,
Co wiecznie w świeżej żałobie
Jak matka płacze na grobie
Za dziećmi swemi.

Śpiewają ludziom, co dyszą
W codziennym a krwawym trudzie,
Lecz biedni, zmęczeni ludzie
Pieśni nie słyszą.

I tylko ci, którzy toną
W wielkiej miłości pragnieniu,
Ci słyszą w serc swoich drzeniu
Tę pieśń natchnioną!

29 listopad 1871

Bez granic

Potoki mają swe łoża -
I mają granice morza
Dla swojej fali -
I góry, co toną w niebie,
Mają kres dany dla siebie,
Nie pójną dalej!

Lecz serce, serce człowieka,
Wciąż w nieskończoność ucieka
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie,
I wierzy, że w swoim łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

13 grudzień 1871

Płaczącej

Ty płaczesz, dziewczę? Łez twoich szkoda,

Na te łzy gorzkie jeszcześ za młoda.

Otrzyj swe oczy:

Świat tak uroczy,

Na niebie jasna pogoda!

Wszak najpiękniejsze z wszystkich niebianek -

Młodość i wiosna wiją ci wianek...

-A ty w łzach przecie,

Niedobre dziecię,

Jak chmurny maja poranek?

Jakaż to boleść czoło ci chmurzy?

Możesz się pączkiem ukłuła róży?

Lub pragniesz skrycie

Gwiazdki w błękicie

I nie chcesz czekać już dłużej?

Może ci wietrzyk przyniósł majowy

Szept podsłuchanej kwiatów rozmowy?...

Utul się w żalu,

Na ust koralu

Niech uśmiech zabłyśnie nowy!

Możesz na kogo dziś się zgniewała,

I stąd ta chmurka przebiegła mała?

Chmurka się zmieni
W siatkę promieni
I tęczą będzie jaśniała.

Choćby cię większa dotknęła strata,
Przyszłość dla ciebie w uśmiech bogata...

Prędko się zgoi
Ból w piersi twojej,
Łzy schowaj na dalsze lata!

1872

Dziwny sen

Dziwny sen miałem z wieczora,
Trwał jakby przez wieczność całą -
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,
Żem skałą, a nie człowiekiem;
Marzyłem, żem jest kochany...
A wiek przemijał za wiekiem -

Nie żałowałem, że głuchy
Głaz nic powiedzieć nie może...
Mówiły ze sobą duchy,

Jam niebo widział w jeziorze.

Tyś zawsze padała drżąca
Na moje piersi z granitu,
Złączona wśród lat tysiąca
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono,
A jam się cieszył z zniszczenia,
Bo przeczuwałem spełnioną
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że gdy do końca
Zamiary przywiedziesz zradne -
Żegnając gwiazdy i słońca,
W objęcia twoje upadnę.

20 styczeń 1872

Idź dalej

Wzywałem ciemności: niech wstanie!
I niech mnie pogąrzy w noc ciemną -
Wzywałem milczące otchłanie,
By łona zawarły nade mną. -

Wzywałem straszego anioła:

Niech ślad mój zagładzi na ziemi,
Niech wszystkie dnie moje odwoła,
Niepamięć rozpostrze nad niemi!

Lecz próżno wzywałem litości,
Jak inni przede mną wzywali...
Głos tylko mnie doszedł z ciemności,
Co wołał: „Idź dalej, idź dalej!”

[22 grudzień 1871]

Na śniegu

Białą się pola, oj białą,
Zasnęły krzewy i zioła
Pod miękką śniegu pościelą...
Biała pustynia dokoła. -

Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny brzozowy,
Drzew obnażone ramiona
Sterczą spod zasy śniegowej.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary,
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.

Tylko świerk zawsze ponury,
W tym samym żałobnym stroju,
Wśród obumarłej natury
Modli się pełen spokoju.

Więc drzewa obdarte z liści
Na jego ciemną koronę
Patrzą się okiem zawiści,
Głowami trzęsą zdziwione...

Próżno głowami nie trzęście,
Wy nagie, bezlistne gaje!
Przemija rozkosz i szczęście,
Boleść niezmienną zostaje.

[22 grudzień 1871]

Uwielbienie

Umarły jeszcze będę wielbić ciebie!
I nie zapomnę pod ziemią czy w niebie
 O twej jasności -
Boś ty mi była nie próżnym marzeniem,
Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,
Lecz byłaś ducha ożywczym pragnieniem
 Wiecznej miłości!

Nie otoczyłaś mnie pieszczotą senną
Ani też falą spłynęłaś płomienną
 Na pierś stęsknioną,
Nie wprowadziłaś mnie na róż posłanie,
Gdzie tylko ciała w upojeniu toną -
Lecz mi piękności dałaś pożądanie,
 Moc nieskończoną.

1872

Myślałem, że to sen...

Myślałem, że to sen, lecz to prawda była:
Z nadziemskich jasnych sfer do mnie tu zstąpiła,
Przyniosła dziwny blask w swoich modrych oczach,
Przyniosła kwiatów woń na złotych warkoczach.
Podąła rączkę swą - szliśmy z sobą razem,
Przed nami jaśniał świat cudnym krajobrazem,
Pośród rozkosznych łąk i gajów mirtowych,
Wiecznie zielonych wzgórz i wód szafirowych
Szliśmy, nie mówiąc nic - a mnie się wydało,
Żem życia mego pieśń wypowiedział całą,
Że z jej różanych ust jak z otwartej księgi
Czerpałem tajny skarb wiedzy i potęgi.
Wtem nagle przyszyła myśl dziwna i szalona,

Żeby koniecznie dojść, skąd i kto jest ona.
I gdy zacząłem tak i ważyć, i badać,
Kwiaty zaczęły schnąć, a liście opadać,
I nastał szary mrok... a ja w swoim biegu
Stanąłem w gęstej mgle na przepaści brzegu.
Strwożony zmianą tą, zwróciłem się do niej;
Niestety, już jej dłoń nie była w mej dłoni.
Słyszałem tylko głos ginący w ciemności:
„Byłam natchnieniem twym, marą twej młodości!”
I pozostałem sam - i noc świat pokryła!
Myślałem, że to sen - lecz to prawda była!

5 kwiecień 1870

Wspomnienie

Ach, tam! gdzie pierwsza witała mnie zorza,
Gdzie tyle w życiu dosłyszałem gwaru,
Przez te zastygłe i umarłe morza
Wrócę tło uczuć młodzieńczych pożaru,
Po kwiat się jeden schylę nad łez wodą,

A może znajdę swoją duszę młodą;
Taka, jak była w poranku stworzenia,
Gdy biegła witać świat ten dla niej nowy
Żądzą miłości, walki i cierpienia,
W blask się jutrzzenki przybrawszy różowy,

I zakochana w własnych mar odbiciu,
Zaczęła pierwszy poemat o życiu.

O poemacie młodości! któż może
Na twe wspomnienie obojętnym zostać?
I widzieć ten sen i to kwiatów łożo,
Na którym jasna spoczywała postać,
I choć na chwilę nie spłonąć rozkoszą
Wśród bliskich widzeń, które woń roznoszą?

W maju, w uroczym bogatym poranku,
W kwitnącej życia chwili, z marzeń tęczy
Komuż nie spływa niebiańskiej kochanki
Widmo, co serce jak lutnię rozdzwięczy,
I paląc piersi namiętym oddechem,
Komuż nie porwie duszy niebios echem?...

Nikły meteor, lecz toruje drogę
I nieśmiertelność pragnień w piersiach szczepi;
Więc choć na widmie postawi się nogę,
Boleść mu nowy piedestał ulepi,
Gdzie stojąc skrzy się różowym płomieniem
Do chwili, w której wszystko zajdzie cieniem.

Gdzież jest to pierwsze rozkoszne zjawisko,
Co się do piersi mej tuliło drżącej?
Ach! tak daleko już i ach, tak blisko!...

Odchodzi z wolna od wierzby płaczącej,
Co ocieniała rozmarzone głowy,
Słuchając sennej słowików rozmowy...

Wracaj, o luba! wszakże zmierzch wieczorny
Zranione serca zwykł zbliżać do siebie;
Na ustach twoich zawisnę pokorny
I całą pamięć przeszłości zagrzebię,
Jak Feniks z własnych powstanie popiołów
To opętane serce przez aniołów.

Czy pomnisz dzień ten omamień bez trwogi,
W którym miłości rzuciłaś mi słowo?
A jam ci światy chciał rzucić pod nogi
I innym życiem natchnąć je na nowo,
Bom się tak uczułem wielki, dumny, silny,
Że chciałem nawet wskrzesić świat mogilny.

Jeżeli pomnisz dzień ten i wyrazy,
Które się lały wezbranym potokiem,
Wiedz, że wciąż do tej zielonej oazy
Wybiegam sercem i myślą, i wzrokiem;
U tego źródła, co tak żywo bije,
Jak gołąb pióra obmywam i piję...

A gdy się zdrojem tych wspomnień odświeżę,
A gdy upoję miłości tej wonią,

Znowu zaczynam kochać i znów wierzę,
Że zdołam jeszcze wzlecieć w niebo po nią,
I zapominam, com cierpiał i przeżył,
Bylebym jeszcze chwilę dłużej wierzył...

I zapominam, że mi już nie wolno
Powrócić w przeszłość jasną i szczęśliwą,
Że muszę naprzód drogą iść mozolną
I snuć z swej piersi pajęczę przędzy;
Więc na to wszystko niepomny przez chwilę,
Chcę przybrać skrzydła i barwy motyle.

Lecz już za późno! Duszy, co się wzbija,
Motyle skrzydła unieść już nie mogą,
Chwila upojeń bezpowrotnie mija,
I dziś trza pełzać wydeptaną drogą,
O żadne loty więcej się nie kusić,
Milczeć i serce do milczenia zmusić.

Do ciebie wrócić nie chcę i nie mogę,
Bo już zaginął dawny kształt młodzieńczy;
Długą przebyłem po przepaściach drogę,
I dziś już żadna róża mnie nie wieńczy;
Wolę się ukryć przed twym wzrokiem w cieniu
I żyć młodością wieczną w twym wspomnieniu.

Miałbym odsłonić przed tobą pierś pustą,

W której wygasła siła i namiętność;
Miałbym pozwolić pocałunku ustom,
Na których usiadł chłód i obojętność?
O nie! na wieki wolę się rozłączyć,
Niż gorycz moje w twoje serce sączyć!

Tak więc odchodzę, bez żalu, bez serca.
Słowiki wspomnień do snu już się kładą,
I tylko puchacz, posepny szyderca,
Słyszeć się daje; ja twarz zwracam błądą
I przez dzielący nas przeszłości cmentarz
Rzucam pytanie: „Czy jeszcze pamiętasz?”

26 maj 1868

Pożegnalne słowo

O drogę moję pytasz się i zżymasz,
Że ta wykracza poza słońc twych sfery.
Nie chcę cię łudzić; widzisz: jestem szczery,
Nie pójdiesz za mną, lecz mnie nie powstrzymasz.
Gdzie świat mój? słońce? gdzie jest moja meta?
Może meteor błędny, nie kometa,
Chwilę nadziemskie olśniwszy etery,
Zgasnę w ciemnościach, więc imię me wymaż
Z listy twych bratnich planet, co bez końca
Kręcić się będą koło swego słońca.

Może kataklizm straszny mnie tam wiąże
Z nieznanego biegunami świata,
Może fatalizm pcha mnie, a zatura
Jedynym kresem, do którego dążę;
Na cóż mi wiedzieć, gdy wytknięta droga?
A resztę zdałem na los czy na Boga.

Jam już zmęczony tą ciągłą gonitwą,
W której co chwila duch mój łamał skrzydła,
Nic mogłem niebios przejednać modlitwą,
A Syzyfowa praca mi obrzydła;
Nie chcę już ducha okiełznać w wędzidła
Jak niesfornego rumaka przed bitwą,
By zwyciężonym powrócić z wylomu,
Unosząc hańbę do pustego domu.

Ach! w tej bezbrzeżnej pustyni dla ducha
Nie ma gdzie widzeń swoich ucieleścić!
Więc chociaż serce jak wulkan wybucha,
Samotne musi wieczność gniewu prześnić
I do grobowców przywyknąć milczenia,
Nim znajdzie w prochach ciszę zakończenia.

Wolę więc, pełen pogardy i wstrętu,
Odwrócić moje obłąkane oczy -
Od tego ładu próżnego lamentu,
Od tej przyszłości, którą robak toczy,

I zapatrzony w mój ideał biały,
Stać jako posąg na ból skamieniały.

A kiedy słońce gasnące oświeci
Ostatni dzień mych marzeń i upadek,
Sam swojej hańby i rozpaczy świadek,
W milczącą przepaść duch się mój rozleci
I nie zostawi dla was nic po sobie,
Co byście mogli lżyć litością w grobie.

19 maj 1868

Echo kołyski

Gdym jeszcze dzieckiem był
Budzącym się na świat,
Gdy wąty życia kwiat
Jeszcze się w pączku krył,
Na łono matka mnie brała,
Pieściła i całowała,
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Pamiętam po dziś dzień,
Jak kojąc płacz i gniew,
Nuciła tęskny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobywał uśmiech na nowo;

I każde piosenki słowo
Pamiętam po dziś dzień.

„Dziecino, nie płacz! nie!
Rozjaśnij twoją twarz,
Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle;
Na moim oprzyj się łonie,
Ja cię przed bólem zasłonię -
Dziecino, nie płacz, nie!

Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze anioł stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny,
Na tkance marzeń pajęczej
Maluje kolory tęczy -
Chowaj na później łzy!

Rozkoszą wszystko tchnie,
Śpiewa ci ptaków chór,
W twym niebie nie ma chmur
Ani goryczy w łzie;
Życie uśmiechem cię wita
I każdy kwiat ci rozkwita,
Rozkoszą wszystko tchnie!

Więc duszę swoją pieść
Jutrzenką rajskich farb
I czystych uczuć skarb
W niewinnej piersi mieść!
Byś mógł zaczerpnąć w tym zdroju,
Gdy ci przybraknie spokoju -
Więc duszę swoje pieść!

Bo przyjdzie inny dzień,
W którym, o synu mój,
Napotkasz tylko znój
Zamiast rozkoszy tchnień;
Zdrada ci oczy otworzy,
Nieufność ducha zuboży,
Bo przyjdzie inny dzień.

Przyjdzie ci płacić krwią
Serdecznych marzeń dług,
Zdepcze cię w prochu wróg,
Znieważy boleść twą;
Szlachetny poryw zapału
I miłość dla ideału
Przyjdzie ci płacić krwią.

I ból swój będziesz niósł
Samotny sercem w świat!
Zawodów, złudzeń, zrad

Będzie ci wieniec rósł,
Cierniami otoczy skronie,
Skrepuje na zawsze dłonie -
I będziesz ból swój niósł.

Na taki życia zmrok,
Rozbicia straszną noc,
Zachowaj ducha moc
I jasny dziecka wzrok.
Niech ci wspomnienie kołyski
Przyniesie matki uściski
Na taki życia zmrok!

Pomimo gorzkich prób
Zawsze, ach! dobrym bądź!
Z miłością drugich sądz
I patrz z nadzieją w grób.
Nie zatrać dziecinnej wiary,
Nie żałuj swojej ofiary -
Pomimo gorzkich prób.

O nie mów, dziecię me,
Że marny życia trud,
Że wszystko fałsz i brud,
A prawdą tylko złe;
Że trzeba wątpić i szydzić,
Pogardzać i nienawidzić,

O nie mów, dziecię me!

Na matkę wspomnij swą,
Na miłość, co bez plam,
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą,
Wierz w piękność ducha słoneczną
I w miłość, która jest wieczną -
Na matkę wspomnij swą”.

8 grudzień 1868

Marzenie poranne

Siedziała w ogrodzie w półświele, w półcieniu,
Przy blasku wschodzącej jutrzeńki,
Wśród ciszy porannej oddana marzeniu,
Słuchając słowika piosenki.

Marzyła o szczęściu, miłości - tak trocha,
Bo o czymże można by innym?
Wszak każda dziewczyna, choć jeszcze nie kocha,
Marzeniem się bawi niewinnym.

Tęsknota, niepokój i dziwne żądania
Nieznanych a słodkich upojeń
Budziły w jej sercu odbłaskiem świtania

Girlandy tęczyowych urojeń.

I piła skwapliwie te wonie, te fale
Powietrza, co pierś jej wznosiły,
I mocniej błyszcząły jej ustek korale
I żywiej się oczy paliły.

Patrzała na kwiaty, co jasne z uśmiechem
Sklaniały kielichy miłośnie,
I dzieląc się wonnym rozkoszy oddechem,
Szeptaly o szczęściu i wiosnie.

Widziała konwalię dziewiczą, jak drżała,
Łzy lejąc z drobnego kielicha,
W objęciach wietrzyka, a choć tak nieśmiała,
Jednakże coś pragnie i wzdycha.

A dalej narcyzy tak piękne, urocze...
Że muszą samotne pozostać,
Więc główki zwiesiły nad wody przeźrocze,
Ścigając odbitą w niej postać.

Tam znowu fijołki, kryjące się w trawie;
Tak dobrze tej cichej rodzinie!
Nie myśli o próżnej wielkości i sławie,
Lecz żyje dla siebie jedynie.

Tak marząc o kwiatach i tonąc w marzeniach,
Oparła na rękę swą głowę
I chmurki śledziła w słonecznych promieniach
To srebrne, to znowu różowe.

Wtem widzi zdziwiona: że z słońca promieni
W jej oczach gmach staje złocisty,
Z kopułą szafirów, z ścianami z zieleni,
A cały jak kryształ przejrzysty.

Kolumny - to palmy splecione w arkady
Przez liany i bluszcze wiszące,
Schodami - srebrzyste ściekają kaskady,
Posadzką - mozaiki kwitnące.

I widzi strwożona, jak kwiatów kielichy
Ludzkimi ją mierzą oczami,
I widzi rój sylfów skrzydlaty i cichy -
Jak igra w powietrzu z tęczami.

A jeden z narcyzów rosami wilgotny
W pięknego młodzieńca się zmienia,
Lecz skrzydeł nie dostał i usiadł samotny
Nad brzegiem srebrnego strumienia.

I widzi wzruszona, jak wiatrom się skarży:
Że nie ma na świecie nikogo...

I słyszy westchnienia i w myślach się waży,
A tak jej smutno i błogo.

Nad litość nic nie ma na ziemi świętszego,
Więc litość skłoniła dziewczynę,
Że wstała powoli i poszła do niego
Zapytać o smutku przyczynę.

Słyszała jak przez sen wyrazy namiętne,
Co śpiewnym pieściły ją echem,
I oczy widziała tak piękne a smętne,
Że odejść byłoby, ach! grzechem.

Słyszała, jak mówił: „Ty jesteś wybrana,
By nowe ukazać mi życie
I duszę na wieczną tęsknotę skazaną
W niebiańskim pogrążyć zachwycie.

Ty jedna! ach! możesz, na ziemi ty jedna!
Otworzyć mi nieba podwoje,
Twa miłość nam władzę cudowną wyjedna,
I skrzydła dostaniem oboje”.

To wszystko słyszała jak w sennym marzeniu -
I uciec, i zostać by chciała,
Aż wreszcie uległa słodkiemu wzruszeniu
I rękę nieśmiało podała.

Podąa - i nagle spostrzegła z podziwem,
 Że lecą oboje dłoń w dłoni,
Złączeni swych skrzydeł tęczowym ogniwem
 W obłoku jasności i woni.

A wszystko się przed nią roztapia w blask słońca,
 Pierś samą oddycha rozkoszą,
Kraina cudowna, bez końca - bez końca,
 A skrzydła ją w górę unoszą;

I płyną wciąż razem w błękitne etery
 Po szlakach przestrzeni gwiaździstych,
A pieśni - nadziemskie śpiewają im sfery
 O ducha pragnieniach wieczystych.

Więc czuje: że serce wrywa się z łona,
 Że nadmiar uczucia pierś tłoczy,
Wśród jasnych błękitów, gwiazd złotych, stęskniona
 Na niego podniosła swe oczy.

I wzrokiem spoczęła w młodzieńca spojrzeniu,
 Co ognia płynęło falami,
I w sennej ekstazy bezbrzeżnym pragnieniu
 Ust jego dotknęła ustami.

Wtem wszystko przepada... i widzi, o dziwy -

Świat jasnych urojeń znikniony!
I siebie zmienioną w krzak brzydkiej pokrzywy,
A młodzian stał w oset zmieniony.

W rozpacz i wstydzie chce płakać - nic zdoła;
Cóż będzie nieszczęsna robiła?
Wtem słyszy z radością, że matka ją woła,
I nagle się ze snu zbudziła -

I poszła zapytać do matki, co znaczy
Sen dziwny o takiej przygodzie.
A matka z uśmiechem swej córce tłumaczy,
Że marzyć nie trzeba w ogrodzie.

1869

Do...

Przekleństwa synu! co Kaina piętnem
Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę,
Przybywaj do mnie! w uciśnieniu smętnem
Znajdziesz dla siebie gorycz i ochłodę.
Znanyś mi z dawna, gdy życiem namiętnem
Przyniosłeś duszy swojej wieczną szkodę,
Rzuciwszy cnoty gościniec utarty
I do bram niebios biegnąc, i odparty.

Lepiej ci było wraz z bracią Ablową
Przeżuwać życie na pokory zębem,
Kochać na rozkaz i wierzyć na słowo,
Pałac na stosie ofiarnym gołębie;
Niżli do boju stanąwszy z Jehową,
Przeglądać bytu i nicestwa głębie.
Nie byłbyś nosił fatalnej pieczęci,
Na którą z wstrętem patrzą wniebowzięci!

Lecz tym, czym jesteś, skazany na piekło!
Tym cię mieć pragnę! gościu mój posepny!
Bo jakieś echo podziemne mi rzekło:
Że los nasz jeden, że i ja występny,
Czemu tym bardziej wierzyć teraz muszę,
Gdy jasne niebo z piersi mej uciekło,
I sam zostałem, nieprzystępny skrusze,
A tylko jednej rozpaczy przystępny.

Razem więc z tobą, synu potępienia,
Nad Babilonu wodami usiedziem,
A nieśmiertelni wielkością zwątpienia,
Z swej piersi głosu strasznego dobędziem;
Z Prometeuszów wiecznością cierpienia
I z sępem żądz, męczarni narzędziem,
W własnej niemocy skowani łańcuchy,
Zostaniem bratnie dwa stracone duchy!

Lecz nim utoniem w niepamięci fali
Przed okiem ludzi skryci w obłok czarny,
Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali:
Że w nikczemności pędząc żywot marny,
Płazowe szczęście, nie wielkość obrali;
Niech ich ród szczęsny, cierpliwy i karny
Z pokorą znosi losów wyrok twardy,
My im zapłaćmy jałmużną pogardy...

5 maj 1868

Zmarłej dziewicy

Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi:
Ani płacz siostry, ani matki łkanie,
Ani gwar obcych a ciekawych ludzi,
Co otoczyli śmiertelne posłanie;
Już jej dosięgnąć boleść nie jest w stanie,
Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi.

Na zawsze swoje zamknęła powieki,
Spokojna, blada, smutna narzeczona
Anioła, co ją poślubił na wieki;
Jakoby w jasny posąg zamieniona,
Zaziemskich widzeń jasnością olśniona,
Na zawsze swoje zamknęła powieki.

Ostatni uśmiech wykwit! na jej twarzy,
A obok niego dziwne zamyślenie;
Jeszcze się może nad jej kształtem waży
Zbiegłego życia rozwiane marzenie,
Więc choć ją wieczność ubrała w milczenie,
Ostatni uśmiech wykwit! na jej twarzy.

Z rozbitej czary idealnych marzeń
Piła zaledwie woń kwiatów wiosenną,
Od rozczarowań wolna i od skażeń,
Rzuciła czarę pod urnę kamienną
I w sferę duchów wlatuje promienną
Z rozbitej czary idealnych marzeń.

Rozmówiona w nieśmiertelnym pięknie,
Ukołysana pieśnią tajemniczą,
Ani się grobu ciemności ulęknie,
Ani zatęskni za życia goryczą,
Ale uwieczni swą piękność dziewiczą,
Rozmówiona w nieśmiertelnym pięknie.

Mistrzostwo śmierci i śmierci potęga
Białego kwiatu utrwaliły białość. -
Co życie w biegu niszczy i rozprzega,
To śmierć obleka w harmonijną całość,
I nieskalaną daje doskonałość
Mistrzostwo śmierci i śmierci potęga!

W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju
Zakwita róża mistyczna zachwytu;
Znikome kształty padły w życia boju,
Lecz to, co boskie, na fali błękitu
Wraca panować nad zmiennością bytu,
W wiecznej pogodzie i w wiecznym pokoju.

1 grudzień 1868

Szkoda!

Szkoda kwiatów, które więdną
 W ustroni,
I nikt nie zna ich barw świeżych
 I woni.
Szkoda pereł, które leżą
 W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
 Roztrwoni.
Szkoda marzeń, co się w ciemność
 Rozproszą,
Szkoda ofiar, które nie są
 Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
 Wybuchać,
Szkoda piosnek, których nie ma

Kto słuchać.
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia,
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

czerwiec 1868

Gdybym był młodszy...

Gdybym był młodszy, dziewczyno,
Gdybym był młodszy!
Piłbym, ach, wtenczas nie wino,
Lecz spojrzeń twoich najśladzsy
Nektar, dziewczyno!

Ty byś mnie może kochała,
Jasny aniele...
Na tę myśl pierś mi zadrzała,
Bo widzę szczęścia za wiele,
Gdybyś kochała!

Gwiazd bym nie szukał na niebie
Ani miesiąca,
Ale bym patrzył na ciebie,
Boś więcej promieniejąca
Od gwiazd na niebie!

Wzgardziłbym słońca jasnością
I wiosny tchnieniem,
A żyłbym twoją miłością,
Boś ty jest moim natchnieniem
I słońc jasnością.

Ale już jestem za stary,
Bym mógł, dziewczeczko,
Zażądać serca ofiary;
Więc bawię tylko piosneczką,
Bom już za stary!

Uciekam od ciebie z dala,
Motylu złoty!
Bo duma mi nie pozwala
Cierpieć, więc pełen tęsknoty
Uciekam z dala.

Śmieję się i piję wino
Mieszane z łzami,
I patrzę, piękna dziewczyno,
W swą przeszłość pokrytą mgłami,
I piję wino...

[lato 1868]

Karmelkowy wiersz

Bywało dawniej, przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczątkom,
Bom myślał, o piękne panie,
Że kwiat lub słowo zostanie
Dla was pamiątką.

Wierzyłem -zwyczajnie młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć,
Że trocha serca kobiecie
Świetnej kariery na świecie
Nie może psuć.

Aniołków brałem na serio
I z śmieszną donkiszoterią
Wielbiłem lalki,
I gotów byłem, o zgrozo,
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki!

Lecz dziś komedię salonu
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam;
Z serca pożytek niewielki,

Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

[przed latem 1868]

Sonet

Jednego serca! tak mało, tak mało,
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Co by przy moim miłością zadrżało,
A byłbym cichym pomiędzy cichemi.

Jednych ust trzeba! Skąd bym wieczność całą
Pił napój szczęścia ustami mojemu,
I oczu dwoje, gdzie bym patrzył śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętymi.

Jednego serca i rąk białych dwoje!
Co by mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko, marząc o aniele,

Który mnie niesie w objęciach do nieba;
Jednego serca! Tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam za wiele!

1869

Ach, jak mi smutno!

Ach, jak mi smutno! Mój anioł mnie rzucił,

W daleki odbiegł świat,

I próżno wzywam, ażeby mi zwrócił

Zabrany marzeń kwiat.

Ach, jak mi smutno! Cięń mnie już otacza,

Posepny grobu cień;

Serce się jeszcze zrywa i rozpacza,

Szukając jasnych tchnień.

Ale na próżno uciszyć się lęka

I próżno przeszłość oskarża rozrzutną...

Cięży już nad nim niewidzialna ręka -

Ach, jak mi smutno!

22 grudzień 1868

Dwa spotkania

Spotkałem go w młodości dniach -

W objęcia moje upadł on

I rzekł mi: „Bracie, w wspólnych snach

Znajdziem zwycięstwo albo zgon!”

Spotkałem go po latach wielu,

Spotkałem na środku rynku;

W objęcia padł: „Ach, przyjacielu o

Zawołał - chodźmy do szynku!”

1869

Na przedpieklu

Raz mi tak żona dopiekła,
Żem się powiesił na górze;
Ciało zostało na sznurze,
A dusza poszła do piekła.
Stracona w otchłanie ciemne,
Trzęsła się cała ze strachu,
Po siarki przykrym zapachu
Poznając państwo podziemne.

Zaledwie biedaczka dusza
Stanęła w przepaści na dnie,
Gdy dziki Cerber wypadnie
Targać za poły kontusza.
I tak jął szarpać zdradziecko,
Że gdym się bronić sposobił,
To on tymczasem już zrobił
Z kontusza tunikę grecką.

Więc w takim klasycznym stroju
Ja, szlachcic i Podolanin,
Szedłem, a duchy po kroju

Mniemały, że jest poganin.
Charon w łańcuchy mnie okuł
I zawiódł na odwach prosto,
Gdzie przed piekielnym starostą
Spisywać trzeba protokół.

Na sądzie Eak zasiadał,
Przy nim Radamant z Minosem;
Spojrzeli na mnie ukosem,
Żądając, bym się spowiadał.
Widząc, że patrzę przed siebie,
Nie wiedząc, co mówić zgoła,
Radamant gniewny zawoła:
- „Coś przyszedł robić w Erebie?
Jakie do niego masz prawo?
Jakie masz w piekle zasługi?
Czy szereg twych zbrodni długi
Występną okrył cię sławą?
Czyś może jako wódz srogi
Rozpuścił na świat swe hordy,
Siałeś pożogi i mordy,
Wzywając do walki bogi?
Lub może jak Tytan nowy
Niebiosą pobiegłeś gwałcić
I ziemię chciałeś przekształcić,
Niszcząc fatalizm duchowy?
Możeś był zemsty Orestem

I w krwi swych bliskich się pławił?
No, powiedz, czymżeś się wślawił?
Mordami? zdradą? incestem?” -

Na to ja, szlachcic struchlały,
Rzekłem: - „Niech porwą mnie diabli,
Jeżeli dotknąłem szabli
Przez życia mego wiek cały!
Jestem człek prawy, zamożny...
Moi piekielni panowie,
Co wam też świta po głowie,
Bym miał być taki bezbożny?!
Żyłem przykładnie na roli,
Czysty przed ludźmi i Bogiem,
Nikommu nie byłem wrogiem,
Strzegłem się wszelkiej swawoli;
Gromiłem życie namiętne,
Próżne marzenia postępu
Nie miały do mnie przystępu,
Doktryny były mi wstrętne.
Nie gustowałem w poezji,
Pogańskich nie czciłem bogów,
Strzegłem się ideologów
I heroiczych herezji.
Prowadząc życie w porządku,
Nie miałem większej ambicji,
Jak zostać... posłem w Galicji,

Gdziem sływał z swego rozsądku.

Ale czart jakiś mnie zbiesił:

Gdy mocniej zalałem głowę,

Różne zgryzoty domowe

Sprawiły, żem się obwiesił”.

Gdym skończył, wstał Minos straszny

I rzekł: - „Co robić z tym fantem,

Z Beotem i obskurantem?

Dla piekła jest za rubaszny!”

I tak po krótkich namowach

Wszyscy trzej, mruczając pod nosem,

Radamant, Eak z Minosem

Zawarli wyrok w tych słowach:

„Idź jeszcze na ziemię, bracie,

Zająć się twoim rzemiosłem,

A będziesz wybrany posłem,

Zasiędzisz nawet w rajchsracie;

A kiedy już w delegacji

Staniesz w obronie wolności,

Chcąc nam dochować wdzięczności,

Pamiętaj o propinacji!

I nie trać nigdy nadziei,

Walcz śmiało na każdej sesji:

Zdobędziesz dużo koncesji...

Banków i nowych kolei.

Choćby kto za złe poczytał,

Śmieć się! bo sprawa jest czysta,
Wszakże kraj na tym skorzysta,
Jeśli powiększysz kapitał.
Piekle się nie bój tym bardziej,
Bądź tylko śmiało bezczelnym,
Honorem ręcym piekielnym,
Że piekło tobą pogardzi”.

12 listopad 1867

Helenie Modrzejewskiej

Ponad tym wszystkim, co początek bierze
W ciężkiej i dusznej życia atmosferze,
Ponad tym wszystkim, co się ćmi i wicherzy
W prochu tej ziemi, jak owad najlichszy,
Ponad tym wszystkim, co z niesforną wrzawą
Goni za chlebem, miłością lub sławą,
I świecąc chwilę, znowu w mroku ginie,
W łez, krwi i błota dziwnej mieszaninie,
Ponad tym wszystkim - jest jaśniejsza sfera,
Będąca ziemskiej tęczowym odbiciem.
Ta zmienne kształty w wieczny blask ubiera
I jak posągi stawia ponad życiem,
I każdą miłość, co się w proch rozwiała,
Uwiecznia w krasie dziewiczego ciała,
I każdą sławę podejmuje z zgliszcza,

I ze rdzy ziemskiej ogniem ją oczyszcza.
Ta sfera jasna, sfera ideału,
W którą świat żywych wsiąka wciąż pomału
I gdzie przenosi swoje łyzy i nędzę
Na rajskich marzeń nieśmiertelną przedzę,
Ta sfera sztuki, jak ją tłum nazywa,
Wieczyście piękna, wieczyście prawdziwa,
Ma swoje sługi, którym jest zlecone
Ukrytych cudów odchyłać zasłonę.
Ma swoje sługi wierne niewolniczo,
Co wdzięcznym marom, zrodzony m w błękicie,
Własnego ducha na chwilę użyczą
I mglistym kształtom własne dadzą życie,
I całą swoje roztrwonią istotę
Na ich nadziemską walkę i tęsknotę,
I trwają, błyszczą i lecą... dopóki
Nie strawi ducha boski płomień sztuki!

Biedne ofiary! Im nie wolno w locie
Opuścić skrzydeł w jakiej cichej grocie
Ani ugasić ognia, co je pali,
Jako jaskółkom gdzie na modrej fali;
Im w ideału jarzmie, bez wytchnienia,
Wszystkie łyzy, skargi, krzywdy i cierpienia
Potrzeba zbierać, każdą ludzką ranę
Przejmując na swe serce skołatane;
Trzeba im chodzić w królewskiej purpurze,

W koronie z szychu i nie giąć się pod nią,
Odczuć w swych piersiach wszystkie ziemskie burze,
I dyszeć dumą, nienawiścią, zbrodnią,
Umarłych plemion żywym być wyrazem,
Kochać, żyć, walczyć, ginąć z nimi razem...
I wszystkie piękne widma, co się roją,
Aby ożyły, krwią napoić swoją.

Biedne ofiary! Tłum, co patrzy na nie,
Widzi ułudę tylko i udanie -
I gdy się ogniem tęczowym zachwyca,
Nie pyta, czym go niewolnik podsycza.
Nie pyta, czemu mieści posąg Nioby
Tyle kamiennej grozy i żaloby,
Czemu pieśń, co się w powietrzu roztrąca,
Jest tyle śpiewna, splakana i drżąca.
Czemu ta postać jasna, czysta, biała,
Spoczywająca dotąd w zapomnieniu,
Nagle przed okiem widza zmartwychwstała
I w czarodziejskim zakwitła promieniu?
Skąd płynie fala tych uczuć obfita,
Co go rwie z sobą? O to tłum nie pyta...
Pewny, że wzruszeń tajemniczych tęcza
Bengalskim ogniom początek zawdzięcza.

Nikt nie przeczuwa owej wielkiej rany,
Skąd krwi upływa strumień nieprzebrany,

Ani tej walki, co trwa życiem całym
Z nieuchwyconym nigdy ideałem -
Ani też nie ma współczujących świadków
Dla tych porażek, zwątpień i upadków,
Gdy niewidzialne wyższej mocy ramię
Słonecznym gońcom skrzydła i lot łamie.
O! tych wewnętrznych konań ponad światem
Nie dojrzą nawet oczy najciekawsze -
Źródło, co było w twórcze łyzy bogatem,
Zostanie ciemną zagadką na zawsze;
I gdy duch w prochu szermierza powali,
Na śmierć zadcpcze i uleci dalej...
Tłum się nie troszczy o los zapaśnika,
Ale do domu powraca... i syka.

Strwonione życie! komedia skończona!
Nad zwyciężonym zapadła zasłona -
I głucha cisza zaległa bezzwłocznie,
Wprzód zanim w ziemi naprawdę odpocznie;
Serdecznych natchnień błyski drogocenne,
Te uleciały ponad prądy zmienne,
Unosząc z sobą w kraj przyszłości mglisty
Serce człowieka i duszę artysty.
Więc pozostaje tylko marą błędną,
Rozdawszy z siebie wszystko, co najlepsze -
Zebrane laury do wieczora zwiędną,
I nikt go piersią swoją nie podeprze.

Dopiero wtedy, gdy z nędzy człowieczej
Chłodna go ziemia na zawsze wyleczy,
Nad grobem miga błędny ognik sławy,
Przed którym staje przechodzień ciekawy.

A jednak, mimo że ten ból, ta praca,
W której się własną istotę zatracą,
Zdaje się niknąć, atom po atomie,
W wiecznej piękności blasku i ogromie,
Jak rosa w słońcu... jednak przecież warto
Chociaż na chwilę dać swą pierś rozdartą
Tym, którzy łakną i tęsknią za niebem,
I głodnych karmić ideału chlebem.
Warto chociażby raz, na chwilę jedną,
Położyć palec na dusz ludzkich ranie
I w lepsze światy zawieść rzeszę biedną,
Prawdy i piękna dać jej pożądanie.
Bo chociaż dzieło i twórca przeminie,
Rzucone ziarno zejdzie kiedyś w czynie
I w przyszłych czynów rycerskiej postaci
Zapomnianemu sprawcy się wypłaci.

1871

SEN GROBÓW [1865]

*I' non so ben ridir com 'io v'entrai:
Tant'era pien di sonno in sua quel punto,
Che la verace via abandonai
L'inferno Canto I.*

I.

W posepną nocy zaszedłem krainę,
Po śniegu, co się usuwał pode mną -
I przez powietrze zmrożone i sine,

Które zawisło nad przepaścią ciemną,
Rzucałem trwożne spojrzenia w pustkowie,
Bo czułem trwogę w mej piersi nikczemną.

Włos mi się jeżył przymarzły na głowie,
Na duszę dziwna przerażeń zmartwiałość
Spadła i skrzydła rozpostarła sowie;

I oślepiała mnie ta śniegu białość,
I obłąkały mnie te nocne cienie,
I upajała mnie ta skamieniałość.

I to zamarłej pustyni milczenie
Zdało się łamać we mnie życia prawa;
Byłem jak ciemność, rzucony w przestrzenie,

I nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa;
O bycie własnym wątpiąc, znicestwiony,
W białym tumanie jak znikomość mgława

Niknąc, leciałem, tym wirem niesiony,
Bez tchu, pamięci, w milczące otchłanie,
Spowity w śnieżnej zamieci osłony.

Ani to blade poranku świtanie
Nadeszło ująć martwości złowrogiej,
Co z chłodnych puchów utkała posłanie

Zniknionej ziemi, ani wśród tej drogi,
Do zatracenia podobnej odmętów,
Nie rozdarł ciszy żaden szmer ubogi,

I nawet echa dalekich lamentów

Nie biegły świadczyć o istnień ruinie,
Straconych z życia powierzchni bez szczętów.

W tej niezmierzonej ciemności godzinie
Czasu już długa przeciekała wieczność,
A nieruchome nicestwa pustynie

Nie przyszła mierzyć codzienna słoneczność
Zwyczajnych światów, i noc nieskończona
Trwała - jak trwania ostatnia konieczność.

Zrazu myślałem, że mnie ból pokona,
Że mnie wstręt zdławi, a przestрах oniemi,
I że ta próżnia niebios potępiona,

Co bez powietrza zda się i bez ziemi,
Mnie w nieruchome opasawszy skręty,
Z cieniami tylko porówna czarnemi,

I że w tę straszną ponurość wsiąknięty
Utonę głucho bez łez i bez jęku,
Zaprzepaszczony i w mgły rozpierzchnięty.

Lecz i ten koniec nawet, pełen wdzięku
Wobec ohydy upiornego bytu,
Jak widmo z światów dobyte rozdźwięku,

Pierzchał przede mną wśród męczarń przesytu,
I wciąż płynąłem, jako rzecz bezwładna,
Przeciw ciemnemu nicestwa korytu.

Otucha mnie też nie karmiła zradna,
Bom się czuł skonan - myślą pogrobową,
Dla której przyszłość nie świeci już żadna;

I całą przeszłość niosłem bezechową
Na barkach swoich - w kraje bezpowrotne,
Rozpamiętując jej umarłe słowo.

Dalej więc, przez te wybrzeża samotne,
Przez mgieł powodzie, przez zasy śniegowe,
Przez niebios brudne plamy i przez błotne

Zacisza bagien, przez stepy jałowe,
Gorzkie jeziora, piaszczyste wydmuchy
Pędziłem - chmury roztrącając płowe.

Pytałem tylko siebie: Gdzie są duchy

Z rozbitych siedzib na wieki wyparte?
I zatraconych światów gdzie okruchy?

Wszystko zostało bez śladu zatarte?
I żadneż widmo nie przyjdzie mnie trwożyć,
Na swoje piersi wskazując rozdarte?

Z plemion, co jutra nie umiały dożyć,
Nie pozostało śladu nawet w próchnie,
Co bym na sercu swoim mógł położyć?

I żaden z lodów płomień nie wybuchnie,
Co by mi wskazał grobów tajne nory,
Gdzie ton harfowy padł - i w kirach głuchnie?

Żadneż się nawet nie zlegną potwory
Z mętnych zapłodnień, zgnilizn i kałuży,
Co by przeznaczeń złamawszy zapory,

Powstały straszne wśród mogilnej burzy?
Ale nic - jedno, wielkie, uroczyste,
Co się nie błyska nawet i nie chmurzy,

Przestrzenie sobą wypełniło mgliste;
A jam je musiał, do dna mierząc wzrokiem,
Za swe dziedzictwo przyjąć - i wieczyste.

Krusząc się pod tym haniebnym wyrokiem,
Przypominałem stracone obrazy:
Gdy tęcze grały nad życia obłokiem,

Gdy nawet z łomów dźwigały się głązy,
A rozbujane w takt Amfionów pieśni,
Spełniały proroctw szalone rozkazy.

Przypominałem, jak szli ci boleśni,
Rozmiłowani w szumie gęstych borów,
Płaczących Dryjad kochankowie leśni,

Wrzosom rumianych używać kolorów,
Uśpione echa budzić z wschodem słońca,
Aby gemonie zyskać gladiatorów;

I w oczach moich gwiazda spadająca
Stopiła lawin zimowe obroże,
I poruszyła się fala milcząca,

I odsłoniła mi umarłych zorzę,

Co się na ciemnych rozpostarłszy sferach,
Usłała śmierci koralowe łoże;

I jako próchnik, błyszczący w eterach,
Rozbłękitniła grobów sen miesięczny,
Ledwie widzialny w gwiaździstych szpalerach.

Więc znów ujrzałem świat ten tyle wdzięczny!
W harmonii, wieczną uświęconej ciszą,
Tracący życia koloryt niezręczny -

I otrząśnięty z tych łez, które wiszą
Nad ziemskich piekieł nieustanną wrzawą,
Aż w sobie piorun dla nich wykołyszają.

Mieniać się barwą opalów jaskrawą,
Stanął przede mną jak anioł, co klęknie
Ponad kołyską sierocą i łzawą

Patrząc, czy serce dziecięcia nie pęknie;
A z róż niebiańskich niosąc mu kołędę,
Ani go zdziwi, ani też przeleknie.

Miłość ma swoją słoneczną legendę,
Co wspomnień zerwać nie daje łańcucha,
Mówiąc sierotom: „Ja, matka, przybędę

Słuchać tych żalów, których nikt nie słucha.
Nie wierzcie temu, że nas teraz dzieli
Nie zapełniona niczym przepaść głucha”.

Więc i ja, z martwej podniesień topieli,
Kłamstwo zadałem śmiertelnej rozłące
I w to wierzyłem, co mówią anieli.

O jakież zdroje czyste i szemrzące
Wiosennych kwiatów podsycają wonność,
Między olchami ściekając po łące,

Melancholijną wierzb płaczących skłonność
Łagodząc najad pieszczonym językiem,
Głoszących ślubów przeżytych dożgonność;

I złotym jaskrów błyszczące płomykiem
Pomiędzy gaje biegną i ogrody
Prowadzić nocne rozmowy z słowikiem.

Ponad cichymi rozstawione wody,

Na wzgórzach, spiętych dzikiej róży krzewem,
Bieleją wioski ubogie zagrody:

Kołycki marzeń dziecinnych, gdzie śpiewem
Porwane myśli lecą ponad błonie,
Ponad zielonym przyszłości zasiewem.

Ta niemowlęca świętość, co tu wionie,
Prześniła wieki czysta, nieskażona,
Jak perła w muszli zachowana łonie;

I nie wie nawet, gdzie jest pogrzebiona
Ciężka spuścizna, którą przyjąć trzeba,
Rzucając w ziemię ojczystą nasiona.

Dość jej na dzisiaj ojczystego nieba
I dymiącego ojcowizn ogniska,
Sosnowych borów i czarnego chleba.

Gaje i chaty! jasne zdrojowiska!
Zielone łąki, wysmukłe topole
I na rozstajnych drogach wśród urwiska

Omszone krzyże w cierniach! was, pachole,
Widziałem w tęczy migającej rąbku,
A dziś was widzę strojne w aureole.

O lilio czystych krynic! o gołąbku
Opróżnionego gniazda! drzewko krasne,
Wieńczony krwawą jagodą jarząbku!

Widzieć cię jeszcze, nim na wieki zasnę,
Ach! dozwoliły mi anioły złote,
I pod twe stopy rzucić serce własne.

Wy, cienie, w jasną odziane prostotę,
Coście rycerskiej zbyły się kolczugi,
A krwi rycerskiej lejecie szczodrotę!

Kapłany gruzów! twarde krzyża sługi!
Raz jeszcze padnę wśród was na kolana -
Zanim przekleństwo rzucę na wiek długi.

Przez niebo wasze dziś rozmiłowana,
Błądząca dusza zapomni o gniewie -
Bo ojców swoich szuka rozplakana.

Wy jak cyprysy naszych pól - modrzewie,

Stoicie smutnie w opróchniałej korze,
W niezrozumiałym dziś gwarzące śpiewie.

Przy was mą harfę wędrowną położę,
Niechaj jęk wyda, strzaskana przez gromy,
Co w wieczność wasze wróci bez klątw może.

Lecz cicho teraz! Bo przez świątyń łomy
Widzę żałobny wpół, a wpół weselny,
Ciągający orszak duchów mi znajomy,

Wzniosły i święty jako hymn kościelny,
Co się wylewa w ekstazie ofiary.
Czy prawdą jesteś, o ty nieśmiertelny

Zawiazku kwiatów niewygasłej wiary?
Co bez owoców z drzewa życia spadasz,
Jak niedośniony tryumf nocnej mary;

Lecz ani barwy wiosennej postradasz,
Ani cię splami rozpacz albo trwoga;
Ziemi ci braknie, lecz niebo posiadasz,

I tak ci przyszłość zaświatowa droga,
Że otrząśnięty w girlandach przedwcześnie,
Z ochotą lecisz kwitnąc w ręku Boga.

Prawdą, ach! dla mnie, co powtarzam pleśnie
Przebrzmiewające w tylu piersiach rannych,
Co m się obłąkał w ciemnościach i we śnie,

I tum was znalazł, w jutrzencek porannych,
Przez Drogi Mlecznej zamgloną gwiazdzistość,
W pragnieniach do was lecąc nieustannych.

Prawdą jest dla mnie ta dziewicza czystość,
Z którą płyniecie w światy idealne,
Jak meteorów różana ognistość.

Serca! grobowców prochami zapalne,
Anielskich kwiatów upojone wonią,
Ogniki tylko w cmentarzach widzialne...

Do was przychodzę z połamaną bronią
I z zasłoniętym rękami obliczem;
Z wami zgubiłem duszę - idę po nią...

Kwitnienie wasze będzie tajemniczem

Dla światów zgiętych nad codziennym plonem -
Lecz w opadnięciu cichem, ofiarniczem

Pod Chrystusowe nogi, wczesnym zgonem,
Spoczywa natchnień nieujęta siła,
Co świat nastraja nadzmysłowym tonem.

Cóż, że się w drzeniu eterów ukryła
I błądzi srebrna po księżycu sierpie?...
Do niej się będzie zwracać ziemską bryłą

I brać swe blaski, nie wiedząc, skąd czerpie;
Aż zwyciężona zgryzotą duchową,
„Wstań, ideale! - zawoła - bo cierpię”.

Tu przed oczami moimi na nowo
Widzę was wszystkich wieńczonych jemiolą,
Co jest odrodzeń godłem, jak w różową

Toniecie światłość, i wieśniacze sioło,
Niby betleemską narodzin stajenkę,
Rozpromieniacie gwiazdami wokoło.

O! stójcie jeszcze... lecz rajską jutrzeńkę
Pokryła ciemność, lecąca w odmęty,
I położyła mi na duszy rękę -

Wtedy się chyląc z wolna jak kwiat ścięty,
Co kładzie twarz swą smutną na mchy rdzawe,
Jeszcze nie zeschły, ale już zwiędnięty,

Przybrałem cichą umarłych postawę,
I chciałem zabić myśl i zamknąć oczy
Na wszelką boleść i wstyd, i niesławę.

Gdy wtem mnie chmura ciemniejsza otoczy,
Z tej chmury skrzydeł wynurzy się dwoje
I mnie cudownym zjawiskiem zaskoczy;

Aż nagle chmurne odrzuciwszy zwoje,
Zstąpił przede mnie jakiś rycerz hardy,
W wieczyste duchów zaprawiony boje.

Jak płomień jasny, a jak marmur twardy,
Nieugiętością zbrojny, nie puklerzem,
Mierzył mnie wzrokiem spokojnej pogardy.

Dał mi znak, a jam powstał przed rycerzem,

Niewzruszoności dziwiąc się kamiennej,
Którą my, ludzie, za nieczułość bierzem,

A którą, gdy duch napelni płomienny,
To jest królową światów, które kruszy,
Jedynie godną dzierżyć rząd niezmienny.

Ze czcią patrzałem, cichy syn pastuszy,
Na tę książęcą postać gromowładną -
Co się nie ugnie w gromach i nie ruszy,

Co nie rozbroi się litością żadną
I poty miecza do pochwy nie włoży,
Aż wyrok spełni nad tymi, co padną.

Poznałem, że to jest posłaniec boży,
Choć kto on, jeszcze nie odgadłem zrazu,
Wpółoślepiony blaskiem tamtej zorzy -

I tylko w jego źrenicach z topazu
Czytałem straszną, świat łamiącą siłę,
Której nie myśli braknie, lecz wyrazu.

Tak w dociekania pograżeń zawile,
Straciłem z oczu, z serca i z pamięci
Teraźniejszości zniklioną mogiłę.

Jakby zgadując niewyraźne chęci,
Duch ten swój oddech w ludzkie ubrał słowa
I rzekł po trzykroć: „Przeklęci! przeklęci!

Przeklęci, których jutrenka grobowa
Kołyszę do snu, do łez i nicości
I żywcem w łonie potępionym chowa!

Dla takich Bóg sam nie znajdzie litości,
Bram im przyszłego życia nie otworzy
I twarz odwróci swoje od ich kości.

Bo kto do tyła duszę swą zuboży,
Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
I dobrowolnie w prochach się położy,

Jak samobójca pierś splamiwszy smętną -
Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mściciel,
I nawet pamięć jego będzie wstrętną.

Ja nie przychodzę jako pocieszyciel

Zatruwać przyszłość miłością zgnilizny,
Ale sąd niosę, wszechwładny niszczyciel -

A miecz wyroków, wolny od trucizny,
Jest obosiecznym i zadając ciosy
Zasklepia razem ciężkie wieków blizny.

Długo was pieścił Cherub złotowłosa
I nad lichymi próchnami się bawił,
Wmawiając wielkość w strzaskane kolosy,

A przecież z gruzów kolumn nie wystawił
I życia nie wlał w umęczone prochy,
Tylko je w tęczy krwawej przez świat spławił,

Mistyczną pieśnią napawając śpiochy,
A odurzone siedmiu niebios blaskiem,
Rzucił w ciemności ów aniołek płochy.

Ja więc przychodzę jako burza z trzaskiem
Deptać doszczętnie zgniecione owady,
Połowicznego istnienia obrazkiem

Zadowolone, byle ujść zagłady,
A życiu, które wyższych szczebli sięga,
Dziś krępujące usunąć zawady.

Oto jest moja tajemna potęga,
Co ma odnawiać bezpłodne ugory!
I oto jarzmo, w które ludy wprzęga!

Chodź za mną! W świat ten gnijący i chory,
Przez drogi pełne klątwy i rozpaczy,
Między skowane w łańcuchach upiory,

Pomiędzy również upiornych siepaczy,
Brodzących we krwi, którym wciąż się zdaje,
Ze o nich przyszłość świata się zahaczy.

Chodź za mną w znojów nieprzebranych kraje!
Lepsze są one niżli wyobraźni
Kłamliwych widzeń utracone raje;

Niech cię nie straszy długość ciężkiej kaźni,
Ani zasmuca wierzchniej pleśni zgniłość.
Stąpaj bez wspomnień, żalu i bojaźni

I zerwij dawną z grobami zażyłość,

I całą przeszłość marzeń chciej zostawić,
Aby cię znowu nie zbłąkała miłość.

To, co upadło, musi w rdzy się strawić
I pod martwości szatą taić skrycie,
Bez próżnych pokus, aby siebie zbawić;

Nie nadwątlone niczym nowe życie,
Któremu niańczy grób ten jak kołyska,
Nim niemowlęce odrzuci spowicie

I rzeczywistą siłę lotu zyska.
Niech więc nie jęczy cichy proch człowieczy
Pod stopą, co go depta i uciska,

Bo odrodzenie światów ma na pieczy
I z woli Bożej zostaje deptany,
Która mu tryumf ojcostw zabezpieczy.

I ty więc losów nie pragnij odmiany,
Nie żądaj nigdy łaski ni przebaczeń”.
„Kto ty? - spytałem - duchu niezblągany!”

A on mi na to: „Jam anioł przeznaczeń”.

[Neapol, 8 stycznia 1865]

II

Gdzie niegdyś duchom poczynione szkody
Mierzyłem bólem połamanych skrzydeł,
Tam dziś cierpiące odwiedzać narody

Szedłem spokojny pomimo straszydeł,
Pod wodzą mistrza, co z ciemnej otchłani
Wysnuwał tęczę krwawych malowideł.

Przywędrowałem do smutnej przystani,
Skąd odbijają od ziemskiego lądu
Na niemoc ducha i hańbę skazani.

Zastałem tłumy czekające sądu,
Co jak spłoszone stada nocnych ptaków

Wzdłuż huczącego wzlatywały prądu.

Tyle tam było przeklętych orszaków,
Żem się aż cofnął z grozy i zdziwienia,
Poznając wszędzie braci i rodaków.

I naraz wszystkie głosy utrapienia
Podziemia jaskiń napełniły zgrzytem,
Aż echem piekiel odwrzasły przedsienia.

Rozpaczy straszna pieśń ponad rozbitem
Ciał rumowiskiem wzięła wszystkie tony
I uraganem, męczarnią dobytem,

Związała jęków niesfornych miliony,
I tak nad duchów kolumną powietrzną
Jakoby sztandar wiała potępiony.

Chociażem wzgardę poślubował wieczną
Dla istnień światom wymiecionych z drogi,
Przecież ujęty zgryzotą serdeczną,

Zadrzałem z bólu, litości i trwogi,
Słyszac tę skargę na wieczność rzuconą
I o piekielne odtraconą progi.

Zachód się palił łunami czerwono,
I w purpurowym ogniu szpetne głębie
Rozpościerały tajemnicze łono.

Ja szedłem dalej po skalistym zrębie
Między pierzchliwych widziadeł orszaki;
Wtem otoczyły mnie wieńcem gołębie.

Spojrzałem zdziwień na te czyste ptaki,
Białe, od krwawych promieni różowe,
Gdy, roztopione wprzód w powietrzne szlaki,

Jak róż girlanda spadły mi na głowę...
Skądże, myślałem, ich niewinne loty,
Pokierowane w gwiazdy zodiakowe -

I w słońc promiennych wplecione obroty,
Tu je przyniosły od biegu omdlałe
I gnane wichrem anielskiej tęsknoty?

Czym zawiniły te latawce białe,
Że na tym smutnym znalazły się brzegu,

Skąd nie ma wyjścia już na wieki całe?

Ach! nie na takim spoczywać noclegu
Żeglarzom nieba najczystszych błękitów
I łamać skrzydła jaśniejsze od śniegu

Na ostrzach łzami wzrosłych stalaktytów,
I ślepnąć w blasku podziemnych płomieni
W owej krainie zatraconych bytów!

Kiedym to myślał, stada srebrnych cieni
Ponad burzliwe zniżyły się fale
I piły chciwie z ich czarnych strumieni

Gorycz, co na śmierć upaja - i w szale
Krwawiły piersi, lecąc obłąkane,
I siadły dumać na nadbrzeżnej skale.

Stamtąd wpatrzone w pożary rumiane,
W podziemnych ognisk jaskrawe wytryski,
Myślały może, jasnością oblane,

Że się rumienić poczyna świt bliski; -
Bo wszystkie naraz zerwały się lotem,,
W płomiennych węzów duszące uściski

Spływając, chwilę purpurą i złotem
Migały w blasku ubarwionej szaty,
Aż znikły wszystkie pod dymu namiotem.

I tylko pieczar ponure komnaty
Wstrzęsły się śmiechu szatańskiego wrzawą,
Gdy się posypał cichy proch skrzydlaty.

Zanim się nad tą zadumałem sprawą,
Rzekł mi przewodnik: „Widziałeś tę marną,
Za poświęceniem goniącą i sławą,

Czeredę sylfów, czystą i ofiarną,
Co chciwie napój wysącza boleści
I w płomień ciska duszy swojej ziarno?

Ich trwanie, ziemskiej pozbawione treści,
Jest jednym ciągiem pragnień i niemocy,
Błyszczą się chwilę i ginie bez części.

Pokój im w cichej zapomnienia nocy!
Ich jest królestwo pośmiertnej pogody,

Aż je odkopią grabarze północy”.

Umilkł - i szliśmy dalej ponad wody,
Co rozwścieklone z rykiem nawałnicy
O skał się tłukły granitowe spody.

Przed nami sterczał najwyższej iglicy
Lodowy cypel, zatopiony w chmurze
I opasany wstęgą błyskawicy.

Jakby umarłej panując naturze,
Wstrząsał się cały wulkanicznym grzmotem
I głużył ryki odmętów i burze.

Tam, walcząc z urwisk wstrząsanych wywrotem,
Pełznąc po głazach strącanych od gromów,
Nie zastraszony burzą ni łoskotem,

Po ostrzach lawy i ostrogach łomów
Piąłem się zwieszon na przepaści krańce,
Jak atom wobec lodowych ogromów.

I tylko wichry - pustyń wychowańce
W ślad mojej drogi wyły po rozdrożach,
Szturmując z lawin usypane szańce

Lub się błakając w lodowatych morzach;
Tylko potoki - z rozdartego łona
Olbrzymią raną po kamiennych łóżach

Rzucaly wody huczającej brzemiona
W zakryte oczom tajemnicze cieśnie,
Skąd tylko pary powiewna zasłona

Zraszała skalne porosty i pleśnie;
Tylko pędzone wichrem mgły przelotne,
Niby widzenia pochwytnane we śnie,

Biegły po szczytach w przestrzenie samotne,
A wypełniając bezdenne obszary,
Porozwieszały swe płaszcze wilgotne.

I dalej - coraz przepaścistsze jary
Porozgradzały straszliwe przystępy,
I coraz bardziej tonęły w mgle szarej

Ciemnych granitów poszarpane strzępy;
Tak, że nareszcie za mną i przede mną

Góry, przepaści, lawiny, skał kępy

Stopniały wszystkie w nieskończoność ciemną -
Już blisko celu, i srebrzyste ostrze,
Co pracą ogni wewnętrznych podziemną

Rzuciło w błękit swe dymiące nozdrze,
Wkrótce w ostatnim zdobyte okopie,
Pod stopą moją widnokrag rozpostrze.

Jestem - i chyba w błękit się roztopię;
Wpółprzechylony w przymglone powietrze,
W gasnących światłach opływam potopie

I łowię wzrokiem te barwy wciąż bledsze,
Co w nowe coraz zlewają się tony,
Zanim je wszystkie ręka nocy zetrze.

Zrazu nic widzieć nie mogłem olśniony;
Niebo i ziemia, w szalonym zawrocie,
Spływały w jeden łańcuch nieschwycony,

I w nierozdzielnym powiązane splocie,
Gór rusztowania, niebieskie przestworza,
Doliny ledwie widzialne w przelocie,

Srebrne wód spadki i błyszczące morza
Migały naraz przed zdumionym okiem -
A nad tym wszystkim jedna wielka zorza.

Od strony morza, nad urwiska bokiem,
Obok krateru, co wieczyście płonie,
Osłonił dymu przejrzystym obłokiem,

Ze łzami w oczach, w błyskawic koronie,
Na piedestale, z złotą harfą w rękę,
Siedział lutnista na obłocznym tronie.

Nogę swą oparł na liktorskim pęku
I drżącą rękę kładł na złote struny,
A harfa jego - orężnego szczęku

Pełna, a dla niej przygrywką - pioruny.
Posąg to w przyszłość obróceń daleką,
Zagadkowymi wypełniony runy;

Przed nim duch ludu trzaska trumny wieko,
A obleczony szatą purpurową,

Na krwawe strugi spogląda, co cieką.

Dalej Polelum, pod jutrznią tęczową,
Na piersiach brata umarłego trzyma,
Trupią dłoń jego wznosi ponad głową

I u chmur żebrze piorunów oczyma.
Obok na stosie strzaskanych oręży
Przy popielnicy z prochami olbrzymia

Dwie dziewic: jedna wstrząsa kłębek węży
I nóż skrwawiony, jak Nemezis gniewna;
Woła: „Kto za mną, nim umrze, zwycięży”.

Druga, w liliowym wianku lutnia śpiewna,
Wiatrom się skarży, że nad sercem ludu
Więcej ma władzy płaczącego drewna

Nieczuły kawał i nadzieja cudu -
Niżli królewska boleść, stos ofiarny
I cała przyszłość spodlenia i brudu.

A z drugiej strony tętni jeździec czarny
I całun śniegu piersią konia kraje,
Zwrócony biegiem ku gwiazdzie polarnej,

Grzmiaćco przyzywa: „Kto rycerz, niech wstaje!”
Tak coraz dalej wokoło lutnisty
Widziałem całą białych widem zgraję,

Zarysowaną z lekka w wieniec mglisty,
Który wypełniał ciemne tło obrazu,
Składając jeden długi sen kwiecisty.

Wpatrzony stałem na krawędzi głazu,
Nie śmiejąc skłócić powietrza westchnieniem,
Nie mogąc znaleźć w swych ustach wyrazu

W zachwycie przed tym cudownym widzeniem;
I chciałem wżyć się w tę całość natchnioną,
A naznaczoną piekielnym znamieniem.

Niełatwo walką duszy swej szaloną
Rozgrodzić niebios i piekiel potęgę
I stać na szczycie bólu przed zhańbioną;

Na zatracone patrząc widnokregi,
Zachować dumy błyskawiczny wieniec,

Nie łamiąc Bogu czynionej przysięgi.

Ten więc przede mną wielki potępieniec,
Co deptał światów zwyczajne porządki
I duchom wstydu wypalił rumieniec,

Gnając je myślą w genetyczne wrzátky,
W apoteozie swej posępnej doli
Jaśniał jak niebem gardzące wyjątki.

Ach! wobec niego korząc się - powoli
Traciłem dotąd niezłomną pogodę,
Chciałem się wyrzec narzuconej roli,

Na wszystkie ciosy mieć znów serce młode,
I walcząc przeciw naznaczonym sądom,
W piekielnych ogniach walki wziąć nagrodę.

Bo któż się może oprzeć takim prądom,
Co rozrywają zasklepione rany!
Któż może nędzy niezmiennej zarządom

Spokojnie duch swój powierzyć stroskany?
Z wytkniętych torów nigdy nie wykraczać,
By nieomyślnej doczekać wygranej!

Gdy tak sam z sobą bój począłem staczać,
Wtopiony wzrokiem w chmurną postać mistrza,
Wichry przybiegły po lutni rozpaczać,

I coraz bardziej burzliwa i mglistsza
Fala harmonii spłynęła w błękity,
I niebios coraz jaskrawość ognistsza

Porozciągała swe płonące świty,
I coraz więcej ciemniały ku górze
Bezksiężycowe posępne zenity.

Tymczasem wulkan w płomieniste róże
Ubrał się cały - i hukiem podziemnym
Wraz z piorunami, które słały burze,

Wtórował pieśni natchnieniom tajemnym;
A z dołu jeszcze, pod olbrzymią skałą,
Rozbijające się na pasie ciemnym

Morze odmęty swoje rozkiełznało
I z bezkrańcowej wyjącej przestrzeni

Trzecią pieśń straszną do wierzchołka słało.

Jakby za danym hasłem potępieni
Zaczęli z tajnych wychodzić kryjówek. -
Była to chmura połowicznych cieni,

Co pozbawiona rąk i trupich główek,
Z grobowców nagie szkielety wywlekła,
Do rozpaczliwych zagnana wędrówek.

Strasza je wiedźma po ramionach siekła,
Pędząc jak trzodę przez płomienie żrące,
By nie uciekły na dno swego piekła.

Tylko się kości kurczyły płaczące
I w łez przydrożne padały kałuże,
Chcąc tam swe rany ochłodzić piekące;

I ani całej zgrozy nie powtórzę,
Jak wypraszały się widma od męki,
Z jaką niechęcią pełzły pod to wzgórze,

Skąd brzmiały harfy piorunowe dźwięki,
I jak bolesnym przejmował mię wstrętem
Ten trupi zastęp bez głowy i ręki.

Przyszedł nareszcie i w kole przekłętym
Naprzeciw mistrza rozpostarł się tronu;
Tu, jakby pieśni porwany zamętym,

Stracić miał pamięć haniebnego zgonu,
Cały się łańcuch ożywił występny
I w takt dzikiego kołysał się tonu.

Z trwogą patrzałem na taniec posepny,
Na te szkielety, wsłuchane ciekawie
W tok pieśni dla ich bytów niedostępny;

I kiedy lutnia zagrzmiała o sławie,
Żywiej zabłysła ich próchen bielizna
I w wojowniczej stanęły postawie. -

A kiedy lutnia wyjękła: „Ojczyzna”,
Poodrzucały swe skrawione płótna,
I silniej od nich wionęła zgnilizna.

Gdy coraz bardziej pieśń szalała smutna
W pourywane chaotyczne spadki,

Na ziemię padła czereda pokutna

I wszczęła wyciem głośno wzywać matki!
Aż dreszcz przejmował patrzeć na te wstrętne
Spróchniałych kości skrzypiące ostatki,

Jak się w targania rzucały namiętne,
Jak się przykrzyły niebu swymi modły
I o zniszczenie błagały doszczętne.

Długo się w bólach pasował proch podły,
Nim się odważył powstać o swej sile,
I tam, gdzie harfy natchnienia go wiodły,

Iść - na wiekowej oprzeć się mogile;
Lecz przy odgłosie wulkanicznych grzmotów
Zerwał się przecież - i wrzeszcząc opile,

Straszne przysięgi składał, że już gotów. -
Ruszyły naprzód te krzywoprzysiężne,
Rożna mi ętnione do niezwykłych lotów

Mary wpółsenne, liche, niedołączone,
Gnane boleścią, przestachem, rozpaczą,
Jako upiorów hufce bezorężne;

I kędy orły nad grobowcem kraczą,
I kędy tylko nad przepaści łonem
Porozwieszane czarne świerki płaczą,

W miejscu grobową ciszą uświęconem,
Na okrwawiony szaniec uroczyśka
Biegły ohydne za nikczemnym zgonem.

I wnet się smutne zatrzęsły zwaliska -
I cichych westchnień przedarły się tony -
I w głębi lochu trumna czy kołyska

W gwiazd się jaśniejsze przybrała korony -
I całą martwość grobowego świata
Oświecił z góry księżyc przerażony.

Srebrna mgła, duchów niewidzialnych szata,
Rozfalowana tajemniczym drzeniem,
Ponad grobami zawisła skrzydlata,

Trącana widzeń wzlatujących tchnieniem;
A na niej blade zakwitły postacie,

Narysowane miesięcznym promieniem.

I pełno było w tej obłocznej szacie
Zaledwie przeczuć dających się szmerów,
O pohańbionym teraz majestacie

Rozmyślających dawnych bohaterów;
I pełno wonnych przeszłością podmuchów,
Z nadziemskiej sfery płynących eterów.

Coraz się więcej rozszerzał krąg duchów,
Jakby się wieków otchłania otwały,
Jakby się wydarł ze swoich łańcuchów

I tu na świadka stanął świat umarły -
W tej sybillicznej nocy zatracenia
Z pogardą patrzeć na bezgłowe karły.

Wszystkich żywiołów zmieszały się tchnienia
I wszystkich potęg nadzmysłowe straże
Przyszły do ziemi szturmować sumienia,

A rozgrzebując milczące cmentarze,
Zajrzeć w ludzkości zapleśniałe serce,
Czy nic - prócz pleśni - więcej nic pokaże.

W takiej szalonej widziadeł rozterce
Trwoga i boleść wiały nieskończone,
Jakby w przeklętej od nieba szermierce

Miały być struny przeczuć potrącone
I w rozstrzygnięciu krwawego dramatu
Poza tryumfem piekieł nie skażone;

Wschodzące słońce miało wskazać światu,
W długim szeregu zatraczeń i zniszczeń,
Od legendowych rajów Eufratu,

Drogę - wśród ciągłych bojów i oczyszczeń
Do tej anielskiej ojczyzny wszech ludów,
Co wolna, w chwili osiągniętych ziszczeń

Spłynie z rozbitej dziś kolebki cudów.

[Neapol, 7 luty 1865]

Epilog do SNU GROBÓW

O! jakże trudno pierzchłe już obrazy
Do życia z sennych krain przywoływać!
I jakże smutno ciemne duchów skazy

Z zasłony, którą śmierć rzuca, odkrywać,
I po przepaściach łowić epos bladą,
I co zawiera męki, odgadywać!

Czyż się nie cofnąć raczej przed gromadą,
Co winy swoje w inne światy wlecze,
I gdy się żywi do spoczynku kładą,

Jeszcze w ciemnościach gdzieś - krzyżuje miecze?
Czyż nie zamilknąć przed żyjących rzeszą,
Co mniemać będzie, że wraz z nią złorzeczę?

Świat ten tak dziwny! I ludzie się śpieszą
Zetrzeć czym prędzej ślad krwawej areny;
To, w co wierzyli wczoraj, dziś ośmieszają,

I co dzień nowej potrzebując sceny,
Trupa przeszłości ze wzdrganiem wywlekają,
Na łup zgłodniałe spraszając higieny.

Tymczasem cienie nad Letejską rzeką
Kończą tragiczną dramatu osnowę,
Łzy im pod martwą zastygły powieką,

I żale swoje wywodzą grobowe,
Bo żyją tylko tym dalekim brzmieniem,
Które przyszłości sny potrąca nowe.

I myślą biedne, że ludzi wspomnieniem
Nieśmiertelności dokupią się mglistej,
Ze ta drgająca fala ich imieniem

W krąg się po ziemi rozejdzie ojczystej,
I że im echo wracające powie
O serc pamięci wdzięcznej i wieczystej.

Lecz świat ten dziwny! - Zrzuca szaty wdowie,

Aby zapomnieć prędeży, czym żył wczora,
I klątwą tylko żegnają synowie

Odlatującej ojczyzny upiora,
I dawny ołtarz rozpada się w zgliszcza
Pod jednym cięciem krwawego topora!

Nowy obrządek i nowe bożyszczka
Biorą pokłony spłoszonego tłumu;
Lecz ani boleść, co serca oczyszcza,

Ani jaskrawa pochodnia rozumu
Do wyższych celów zaprzających nie nagną -
Bo ci wśród szyderstw głuszącego szumu

Do swych poziomów wszystko zniżyć pragną;
Tak więc - po smutnym przeszłości wyłomie
Zostaje w spadku wielkie tylko bagno.

A kto się twarzą zwróci ku Sodomie,
Tego Bóg w posąg boleści zamienia,
I nad umarłym morzem nieruchomie

Sam pozostanie wśród pustyń milczenia,
Dźwigając przekleństw narzucone brzemie,
Co go nimbusem piekieł opromienia.

Śmieszna komedia! - gdzie zwycięzcy strzemię
Całują zgięte na kolanach męża,
I gdzie umarłych nieświęconą ziemię

Plugawią jadem pełzające węże,
I gdzie ostatnia zacność, co nie pada,
Modlitwą nawet niebios nie dosięże!

Więc gdy ostatnie hasło w sercach - zdrada,
Z cmentarnych krzyżów niech pręgierze stawia,
I umęczonych śpiąca już gromada

Niech się nie dziwi, że ich proch zniesławia,
Niech się nie troszczy w chmurach rozpostarta,
Że ich śmiertelnej koszuli pozbawia.

Bo tak być musi - i dziejowa karta,
Co lśniła blaskiem nieuszczeniętych marzeń,
Raz ręką mściwej Nemezis rozdartą,

Walać się musi w błocie ziemskich skażeń,

Aż ją znów przyszłość podniesie zwycięska
I w krwi umyje anioł przeobrażeń.

Choć się więc skruszy pierś niejedna męska,
Kamienowana u świątyni progu,
Choć grasująca czarnych odstępstw klęska

Szerzyć się będzie w smutnym epilogu -
Nie przekupiony przetrwa prawdy świadek,
Co boleść nasze odda w ręce Bogu.

Ileż to ciemnych ciągnie się zagadek
Przy tym krzyżowym ludzkości pochodzie,
Gdzie wciąż się nowy powtarza upadek,

Co spycha w przepaść jasne duchów łodzie.
Ileż to razy ginące plemiona
Chciały powstrzymać słońce na zachodzie,

By przyszłość w swoje uchwycić ramiona,
Sądząc, że one kończą dzień pokuty,
A jutro błysnie jutrznia nieskażona!

Próżne złudzenia! Bo ich ślad zatruty
Zostaje w spadku przyszłym pokoleniom:
Ideał starców łamie się zepsuty,

A młódź urąga okrwawionym ceniom -
I gdy ma nowe gonitwy poczynać,
Kłamstwo zadaje przeszłości natchnieniom.

Więc znowu trzeba boleć i przeklinać,
Trzeba ukochać jaką nową marę
I nowe tęcze na niebie rozpinać,

Wątpić i wierzyć, i znów tracić wiarę,
A po pielgrzymce męczącej i długiej
Minotaurowi znów złożyć ofiarę.

Ha! gdyby znalazł się Tezeusz drugi,
Co by odszukał labiryntu wątek
I spłacił za nas zaciągnięte długi,

I dał nam w ręce rapsodu początek -
Może by jeszcze było stworzyć z czego
Dziwną krainę marzeń i pamiątek!...

Lecz tak - co robić?... Życzę snu dobrego

I tej odwagi, co zdrajcom przystoi...
A sam do grobu wracam splamionego

Jak upiór w dawno zardzewiałej zbroi,
Któremu serce trza odjąć i głowę,
Aby nie straszył tłuszczy, co się boi.

8 październik 1867

Podróźni

Przez włoskie wille nad morzem wiszące
Ciagniemy, rzesze senne i cierpiące,
Trochę tu niebios zaczerpnąć - i morza,
Gdy nam przybrakło ojczystego brzegu,
I skargi rzucać w gwiaździste przestworza,
Szukając w gajach oliwnych noclegu.
Gdzie w ciemne groty szafiry się leją
Niebieskim światłem olśniewać podziemie,
Gdzie burze przerwać milczenia nie śmieją
I tylko ptastwo zabłąkane drzemie,
Przyszliśmy - grubą odziani żałobą,
Zazdrościć ciszy tym błękitnym grobom.
Gdzie góry biegną nad zwierciadłem fali
Kapać się w blasków różowych pogodzie,
Tuśmy, wygnańcy, ojczyzny wołali,
Na pełne morze odbijając łodzie -
A płynąc myślą w mgły przeszłości czarne,
Rwali cyprysy i róże cmentarne.
Witajcie, płynne otchłanie, swym szumem,

Dokończcie dźwięków wydartych westchnieniem!
Wszak w nieskończoność toniem wraz z tym tłumem
Mar zatraconych za zgasłym promieniem,
A nieświadomi wybrzeża, gdzie staniem,
Spoczniem - za nowym czekając świtaniem.

18 listopad 1864

W zatoce Baja

Cicho płynmy jak duchy,
Białe żagle nawiaźmy;
Toń tak głucha, milcząca,
Fala o brzeg nie trąca,
Więc utajmy namiętne wybuchy
I wzrok łzawy w ciemności pograżmy.

Dzień już zapadł w otchłanie,
I w posępnej pomroce
Jako cienie przelotne
Pijmy rosy wilgotne,
Po srebrzystej ślizgając się pianie,
W tej przeszłości szumiącej zatoce.

Tu przed nami się czerni
Stary cmentarz dziejowy,
Gdzie ruiny dokoła

Śpią pod skrzydłem anioła;
Tu przystaniem, grobowców odźwierni,
I pochylim ciężące już głowy.

Może echa, co drzemią
W długim kolumn krużganku,
I marzenia, co legły,
Nim swej mety dobiegły,
Naszym przyjściem zbudzone pod ziemią,
Dopowiedzą historii poranku.

Pośród wonnych jałowców
Dumające widziadła
Szepczą między zwaliska
Zapomniane nazwiska...
Pewnie przyjmą gościnnie wędrowców,
Nad którymi już przeszłość zapadła.

W Serapisa kościele
Złożmy lary rodzinne,
Może z nawy strzaskanej
Wyjdą słońca kapłany
Pytać się nas, co robim w popiele
I czy słońce nie świeci nam inne.

A Kumejska Sybilla,
Skryta w głębi pieczary,

Nad trójnogiem schylona,
Krzyknie przez sen zdziwiona:
Czy się zjawił znów jaki Attylla?
Czy to tylko mordują Cezary?...

Przed prostylem Diana
Trzyma księżyc nad głową;
Gdy nas ujrzy, pomyśli,
Że Niobidy tu przyszli,
I po łuk swój pobiegnie, zmieszana
Tą kamiennej boleści wymową.

A pierzchając przez łomy
W liść rzeźbione akantów,
Będzie mniemać, że z dala
Stoi córka Tantala
I w nią wlepia swój wzrok nieruchomy,
Przesłonięty potokiem brylantów.

Wróc się, blada Hekate!
Bo ruina się skarży;
Fryz, odarty z ozdoby,
Patrzy pełen żałoby -
Nie przyszliśmy po krwi swej zapłatę
Ani chcemy zakłócać cmentarzy.

Zejdź więc, gwiazdo Erebu,

Tulić dalej straszyciła;
Już piekielnych psów wycie
Głosi nasze przybycie;
My z własnego wracamy pogrzebu
I pod twoje chronimy się skrzydła.

Rzuć ostatnie promienie
Nam na drogę podziemną;
Może za tym wybrzeżem
Acheronu dostrzeżem
Naszych braci błądzące już cienie
I żalące się niebu, że ciemno!

18 listopad 1864

Pijąc Falerno

Dosyć łez, po co te smutki?
Czas się nareszcie rozchmurzyć!
Poranek życia tak krótki,
Trzeba go użyć.

Szczerością pewnie się zgubię,
Mimo to będę otwarty:
Dawniej kochałem... dziś lubię
Życie na żarty.

Com kochał?... Razem z miłością

Pamięć rzuciłem za okno,
A resztki wspomnień z radością
W kieliszku mokną.

Jeśli to miłość dziewczyny,
Więc, by ukarać niewierną,
Usiadłem na łonie Fryny,
Pijąc Falerno.

* * *

Jeśli to... lecz daj mi pokój
Z bezpłodną ojcowizn schedą,
Lepiej ty, Fryne, prorokuj
Bachiczne credo.

Rozkoszy stawmy ołtarze;
Pijacką miejmy bezczelność,
A może znajdziemy w czarze
I nieśmiertelność.

Zdziwim się, a przy wdzięczności
W piwnice pójdziemy rajskie,
Wybierać z beczek wieczności
Wina tokajskie.

Tymczasem do wniebowzięcia

Sposobiac żądę niezmierną,
W twoje się chylę objęcia,
Pijac Falerno.

* * *

Winnice na grobach rosna,
A zatem z tych winogradów
Ozywiam wene miłosna
Prochem pradziadów.

Życie nad śmiercią przeważa,
Bo taka istnienia kolej;
Wypijmy zdrowie grabarza...
Wina mi dolej!

Kto jeszcze nie przestał szlochać,
Ten pewnie z własnej swej winy
Nie może już pić... ni kochać
Ładnej dziewczyny.

Niech się więc kruszy przed niebem,
Gotując się in aeterno,
Pójdę za jego pogrzebem,
Pijac Falerno.

* * *

Kto mi przerywa?... to duchy...
Znane mi kiedyś przed chwilą...
Brząkają w swoje łańcuchy,
Mówić się siłą.

Chodźcie tu, moi najszczeri,
Grzać się miłością i winem,
Wszak nieraz piersią przy piersi
Byliśmy czynem.

Dziś wy cieniami marnemi,
Skrwawione chylicie usta,
Mnie zaś tu trzyma do ziemi
Dziewczyna pusta.

Więc klnijmy w pijanym szale
Opatrzność niemilosierną...
W łeb sobie jutro wypalę,
Pijąc Falerno.

29 październik 1867

Na Nowy Rok

Słyszycie! Północ już bije,
Rok stary w mgły się rozwiewa,

Jak sen przepada...
Krzyczmy: Rok nowy niech żyje!
I rwijmy z przyszłości drzewa
Owoc, co wiecznie dojrzewa,
A nie opada.

Rok stary jak ziarnko piasku
Stoczył się w czasie przestrzenie;
Czyż go żałować?
Niech ginie! bez łzy, oklasku,
Jak ten gladiator w arenie,
Co upadł niepostrzeżenie -
Czas go pochować.

Bywały lata, ach! krwawsze,
Z rozpaczy jękiem lecące
W przeszłości mrok;
A echo powraca zawsze,
Przynosząc skargi palące...
Precz z smutkiem! Życzeń tysiące
Na Nowy Rok!

Spod gruzów rozbitych złudzeń
Wynieśmy arkę rodzinną
Na stały ląd!
Duchowych żądni przebudzeń,
Potęgą stańmy się czynną,

Bacząc, by w stronę nas inną
Nie uniósł prąd.

Rozumu, niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości!
A Bóg nam stanąć pozwoli,
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły,
Jak żyć w przyszłości.

W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha,
Co się poświęca,
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha,
Pracą bez wieńca.

Uderzmy w kielichy z winem
I bratnie podajmy dłonie,
Wszakże już czas!
Choć różni twarzą lub czynem,
Niech nas duch jeden owionie,
Niech zadrzy miłością w łonie
I złączy nas!

Bo miłość ta, która płynie
Z poznania ziemskiego mętu,
 Jest światłem dusz!
Choć Bogu wznosi świątynie,
Potrafi zstąpić bez wstrętu
I wyrwać słabych z odmętu
 W pośrodku burz.

Niech żyją pierwsi w narodzie,
Jeżeli zawsze są pierwsi
 I w poświęceniu!
Gdy z czasu potrzebą w zgodzie,
W szlachetnym czynie najszczerzi,
Swą dumę umieszczają w piersi,
 A nie w imieniu!

I ci, co żadnej spuścizny
Na grobie matki nie wzięli
 Prócz łez - niech żyją!
Jeżeli miłość ojczyzny
Jako synowie pojęli
I na wyłomie stanęli,
 Gdzie gromy biją.

Spełnijmy puchary do dna
I życzymy sobie nawzajem
 Szczęśliwych lat!

Niech myśl powstanie swobodna
I światło błysnie nad krajem!
Bogu w opiekę oddajem
Przyszłości kwiat.

Tych naszych braci, co cierpią,
Miłością naszą podnieśmy
Męczeński ród.

Niech od nas pociechę czerpią,
Nadzieję w ich sercach wskrześmy,
Wołając: jeszcze jesteśmy -
Niech żyje lud!

6 styczeń 1868

Pamięci Józefa P...

Byłeś jednym z tych ludzi nielicznego koła,
Co wierni ideałom, pod nogą nie czują
Ziemię błota - dotknięciem się trują.
Ludzi palącej myśli i bladego czoła,
Co rażeni w kolebce spojrzeniem anioła,
Jak błędne cienie po ziemi się snują.

A wyzwolenia z męki czekając serdecznej,
Jak stracone pikiety wielkiej armii ludów
Idą - niepostrzeżeni dokazują cudów,

Ginąc bez echa w niepamięci wiecznej.

Przebiegłeś swoje metę jak rycerz bez trwogi,
Bez skargi, bez pociechy; ani twemu oku
Odśloniła się przyszłość w ognistym obłoku,
Jak ostatni sakrament do ostatniej drogi.

Do twojego grobowca nie zstąpi cień sławy,
Co po podziemiach zbiera swoje ulubieńce,
A próchniejące kości strojąc w lauru wieńce,
Na zasiew świata rzuca ich proch krwawy.

Śpij cicho, fala życia leniwo się toczy
Dla tych, co sztandar walki chcą zatknąć przy zgonie,
I nieśmiertelność, którą czują w łonie,
Przekazać pokutnicy, co w popiołach kroczy,
A którą oglądali w tęsknocie proroczej
Królową ludów - zwycięską w Syjonie.

[Neapol, październik 1864]

Prośba

O mój Aniele, ty rękę

Daj!

Przez łzy i mękę,

Przez ciemny kraj,
Do jasnych źródeł ty mnie doprowadź;
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło jak marny
Liść;
Wśród nocy czarnej
Nie wiem, gdzie iść,
I po przepaściach muszę nocować,
Więc ty mnie prowadź.

To, com ukochał, com tyle
Czciał,
Zdeptane w pyle
Padło bez sił;
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stanąłem w trwodze.

Widziałem zbrodni zwycięski
Szał,
Widziałem klęski
Duchów i ciał;
Więc obłąkany boleścią, chodzę
We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz, w co wierzyć
Mam,

Jak dzień mój przeżyć
W ciemności, sam;
Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie,
Więc ty zstąp do mnie!

Lękam się zstąpić z wątpieniem
W grób
I z utęsknieniem
Do twoich stóp
Chylę się z prośbą i nieprzytomnie
Wołam: zstąp do mnie.

Pokaż mi tryumf w przyszłości
Dniach,
Tryumf miłości
Kupiony w łzach,
I ludu mego zwycięstwo jasne
Pokaż, nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących
Zórz,
Zmartwychwstających
Królestwo dusz,
A dbać nie będę o szczęście własne,
Spokojny zasnę.

27 kwiecień 1869

Toast w Poznaniu

Chwilę tylko w braterskim złączeni uścisku,
Spoczęliśmy na sercach wielkopolskiej braci;
Ale dosyć nam było przelotnego błysku,
By ten węzeł jedności, co nigdy nie traci
Swojej mocy pomimo nieszczęść i rozdziałów,
Wzmocnić teraz uczczeniem wspólnych ideałów.

Dosyć było nieznaney dotychczas rodzinie
Połączyć swoje dłonie i z oczu wyczytać
Tajemnicę braterstwa, co z serc w serca płynie,
By się o nic nie troszczyć i o nic nie pytać,
Ale wszystko odgadnąć z pierwszego wejrzenia
I łzami wypowiedzieć dzieje pokolenia.

Zdawało się na chwilę, że to cud prawdziwy!
Że jasna przeszłość z grobu wiekowego wstała
I przyszła błogosławić naród wiecznie żywy
W garstce, co się nad Warty brzegami spotkała,
I że królewskie cienie śpiących tutaj Piastów
Słuchały rozjaśnione wzniesionych toastów!

I chociaż to sen tylko, żeśmy połączeni,
Choć ta mara całości wraz z rozstaniem pryska,
Jednak dla ducha nie ma granic i przestrzeni

I miłość do jednego skupi nas ogniska,
Gdzie przechowując skrzętnie cnót ojczystych zaród
Nie zapomnim: że jeden stanowimy naród.

Połączyła nas dziwna braterstwa potęga,
Której z naszego łona przemoc nie wydarła!
Dziś widzimy, jak daleko poza grób swój sięga -
Więc choć nam powiadają: „Ta ziemia umarła”,
To my, czując, jak polska wydziera się dusza -
Wołamy jednomyślnie: „Jednak się porusza”.

Ta myśl, którą wynosi m z naszego spotkania,
Ta wiara w polskie serca, której nic nie zmieni,
Niechaj będzie zarazem słowem pożegnania
Od tych, co Was kochają jak bracia rodzeni -
I w ostatnim uścisku, w cichej łez wymowie,
Wznoszą po raz ostatni: Wielkopolski zdrowie!

8 lipiec 1868

Piosnka pijaka

Na trzeźwo nie mogę żyć!
Więc się upijam od rana
I zawsze z pełnego dzbana
Do nocy wciąż muszę pić;

Za każdym kielichem wina
Piękniejszym staje się świat,
I urok młodzięcych lat
Wstępować w serce zaczyna.

Zaledwie wypróżnię dzban,
Piosenkę znajduję na dnie,
A ona dźwięczy tak ładnie
Wśród moich samotnych ścian!
Rozjaśnia duszę pogodą
I z serca zdejmuje pleśń,
Wesoła, swobodna pieśń
Fantazję wskrzesza mi młodą;

I słyszę kochanki głos,
Pierwsze miłosne zaklęcia,
I chwytam dzban mój w objęcia,
Padając na flaszek stos -
Zdjętemu błogim marzeniem
Zda się, że wracam znów
Do jasnych młodości snów
Ponad srebrzystym strumieniem!

Po kwiatach sący się zdrój,
A wietrzyk roznosi wonie,
Pierś ogniem szlachetnym płonie,
Chcę wznowić rycerski bój,

W dobranym braci orszaku -
Ochoczo biegnę na szturm
I słyszę w odgłosie surm:
„Zwycięstwo przy białym ptaku!”

Pośpieszam, co zdąży koń,
I u nóg kochanki klęczę,
Ona z obłoków rwie tęczę
I moję ozdabia skroń;
W rodzinne przychodzę strony
I witam rzucony dom,
I matki radosnym łzom
Powierzam zdobyte plony...

W pośrodku ojczystych pól...
Lecz tu się sen mój ucina;
Fantazji gdy braknie wina,
Powraca zgłuszony ból -
Każda odnawia się rana -
Na trzeźwo nie mogę żyć...
A więc pozwólcie mi pić
Z mojego pełnego dzbana.

27 grudzień 1868

Sonet

Odkąd znów padło w proch tve czoło dumne,
Na synów twoich dziwna zesła trwoga,
Ich wzrok bezmyślny widzi tylko trumnę,
Na której wsparła się zwycięzcy noga.

Oni nie wiedzą, że ty prochom dziątek
Dziś posłuchanie dajesz tam u Boga,
I śmia narzekać, o najlepsza z matek,
Żeś porzuciła ich na pastwę wroga!

Lecz ty wymową cichą, apostolską,
Ucz ludy zginać przed tobą kolana
I bądź w błękitach tą harfą eolską,

Po której wichry głoszą imię Pana.
Jasnym sztandarem duchów bądź, o Polsko,
Póki nie wstaniesz z prochu nieskalana.

16 luty 1869

Sonet

Nie myśl o szczęściu! Nie myśl o miłości!
Dla nas ten owoc nigdy nie dojrzeza,
My rwiemy inny z przeklętego drzewa,

Co daje wiedzę bytu i nicości.

My znać nie możemy uniesień młodości,
Bo już w kolebce truciznę nam wlewa
Widmo haniebnej i krwawej przyszłości
I do snu pieśni straszliwe nam śpiewa.

Więc młodość nasza mija bezpowrotnie
Jak błyskawica wśród bezpłodnej burzy,
Serce się nasze wypali i znuży,

I nic nie zdoła podnieść go istotnie -
A gdy nie możemy żyć i cierpieć dłużej...
To na wygnaniu giniemy samotnie.

1869

Sonet

Pośród narodów - wyście nędzarzami!
Z dumą hidalgów nosicie łachmany
I odkrywacie światu swoje rany,
Aby zarabiać na chleb krwią i łzami.

Własną nikczemność znacie dobrze sami,
Więc się chowacie w pamiętek kurhany,
I gdy kto skargę podniesie stroskany,

Wołacie, że on świętość grobu plami.

Trzeba mieć litość nad wami, nędzarze,
Trzeba wam życzyć, o biedni, ułomni,
Żebyście ciche zalegli cmentarze

I z tego świata zeszli bezpotomni;
Śmierć wam tę jedną nadzieję ukaże:
Że o was Polska i przyszłość zapomni!

27 kwiecień 1869

Bezimiennemu

Gdy jeszcze gościł na ziemi
Złe mu w gościnie tej było -
Miał serca, serca za wiele,
I to go właśnie zgubiło.

Był jak ta harfa eolska,
Co drży za każdym powiewem,
Miotany na wszystkie strony
Miłością, bólem i gniewem.

Greckiego piękna kochanek,
Czciciel potęgi i czynu,
Marzył o duchach niezłomnych

I szukał ludzi wśród gminu.

I bratnie podawał dłonie,
I wierzył, że pójdą razem
Zbratani wielkością celu,
Spojeni krwią i żelazem.

Anioła widział w kobiecie -
Lecz ta mu serce rozdarła,
A bracia? - ci go zawiedli,
Więc miłość ziemską umarła.

Kraj swój miłował rodzinny
Tęsknym uczuciem sieroty
I wierzył w zwycięstwo ducha,
W tryumf wolności i cnoty;

Wierzył, że naród szlachetny
Nie ginie i nie umiera,
Że znajdzie w każdym swym synu
Mściciela i bohatera.

Więc kiedy ujrzał nareszcie
Rozwiane najświętsze mary,
Strasznego rozbicia świadek
Ostatniej pozbył się wiary;

A chociaż uszedł przed wrogiem,
Nie uszedł potwarzy ciosu
I nie miał z kim się podzielić
Goryczą swojego losu.

I błądził wśród obcych ludów
Nieznany, samotny człowiek;
I umarł z dala od swoich -
I nikt mu nie zamknął powiek -

I nikt już o nim nie wspomni -
I jest już garścią popiołów -
A twarda ziemia wygnania
Na sercu ciąży jak ołów.

28 wrzesień 1869

J. I. Kraszewskiemu

U nas - gdzie przodownikom narodowej pracy
Trud ciężkiego żywota jedyną nagrodą,
U nas - gdzie oni idą kornie jak żebracy
Przed tłumem, co za sobą do przyszłości wiodą,
I siejąc ziarno myśli, za wszystkie korzyści
Zbierać muszą zatruty owoc nienawiści,

U nas nie znajdzie lauru dla uczczenia głowy

Tego, co żył boleścią i życiem narodu;
Laur zresztą niepotrzebny - wieniec piołunowy
Więcej uświęca drogi twojego pochodu
I większą ponad inne częścią cię otacza,
Żeś wziął zapłatę godną polskiego tułacza.

Ten wieniec ci podano nieraz, bądź więc dumny!
Pełzającej mierności nigdy nim nie wieńczą -
Zapracowałeś ciężko na gniew bezrozumny
Niewygasła miłością i wiarą młodzieńczą,
Możesz więc ze spokojem dług wdzięczności spłacać
I jak dotąd kraj myśli skarbami wzbogacać.

Co tobie po uznaniu, po uwielbieniu szmerze?
To zostaw tym, co wszystko wraz z oklaskiem tracą;
Ciebie wstająca Polska w nowy blask ubierze,
Boś całe pokolenie swą wychował pracą
I niósł pochodnię prawdy wśród niechętnych syku,
Niezmordowany polskiej myśli pracowniku!

Dość ci na teraz hołdu, który niewidomie
W serc skrytości szlachetnym uczuciem wykwita;
Wszak tobie towarzyszy wśród walk na wyłomie
Prawdy, dobra i piękna miłość niepożyta?
Ta wyda plan obfity, i gdy polskie niwy
Błyszczą dojrzałym ziarnem - zbierzesz plon prawdziwy.

19 marca 1871

Miejmy nadzieję!

Miejmy nadzieję!... nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spróchniały w wąły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy nadzieję!... nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń
I przechowuje oręż i przyłbicę.

Miejmy odwagę!... nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy odwagę!... nie tę tchnącą szałem,
Która na oślepi leci bez oręża,
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem
Przeciwnie losy stałością zwycięża.

Miejmy pogardę dla wrzekomej sławy
I dla bezprawia potęgi zwodniczej,
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwawy
I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy.

Miejmy pogardę dla pychy zwycięskiej
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy!
Ale nie wielbmy poniesionej klęski
I ze słabości swojej się nie szczyćmy.

Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić...

Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość;
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.

6 maj 1871

Przeminął czas

Przeminął czas! przeminął czas
Tęczowej cudów powieści,
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy ani Driada,
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg

Żadne już widmo nie siada.

Zaklęty zamek poszedł w dym,

Postrachu więcej nie szerzy...

I Meluzyna głosem swym

Nie wabi błędnych rycerzy.

Już czarodziejski prysnął krag,

Serc widzeniami nie pieści -

Wyrwał się nagle z ludzkich rąk

Geniusz cudownych powieści!

* * *

Przemiął czas! przemiął czas

Rapsodów sławy i miecza,

Zmalały pieśni pośród nas,

I pierś zmaląła człowiecza!

Wolności także zamarł śpiew -

Nie ma skrzydlatej husarii,

Co za ojczyznę lała krew,

Padając z imieniem Marii.

A bohaterstwa jasny cud,

Co niegdyś blasków lśnił tęczą,

Dzisiaj wyklina biedny lud,

Żelazną ściśnion obręczą.

Niezrozumiałym już się stał

Oreźny szczęk epopei -

Dla znikczemniałych, smutnych ciał

Bez męstwa i bez nadziei.

* * *

Przycichła pieśń i kona już,

Nie budząc żadnego echa...

Próżno się czepia zwiędłych róż,

Na próżno w łzach się uśmiecha.

Próżno na grobach w cichą noc

Skarzy się smutna i blada,

Straciła dawną swoją moc,

Sercem człowieka nie włada.

On się już wyrzekł złotych mar,

Jasnego zaparł królestwa -

I nieśmiertelny ducha dar

W otchłanie strącił nicestwa.

I runął cały wielki gmach,

Wzniesiony wiarą pokoleń...

Została nędza - niemoc - strach

I ojców spróchniała goleń!

* * *

Lecz błysnie dzień! lecz błysnie dzień,
W którym duch ludzki na nowo
Ożywi zeschły życia pień
Girlandą kwiecica różową

I z prochu, w który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas twórczych sił
I znowu w niebo popłynie.

A ideału jasny kwiat,
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyszej.

I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte -
Co nieśmiertelne, musi żyć!
Choć zmienia kształty zużyte.

* * *

A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży
I z labiryntu ciemnych snów
Na światło dzienne wybieży.

Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy - ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali;

I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą - do ideału.

A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej,
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I uścisk zwycięży bratni.

26 wrzesień 1874

Powrót do domu

Wśród cichej nocy do wioski, co w dole
Ponad srebrzystym rzucona strumieniem,
Zdązał podróżny i witał westchnieniem
Wysmukłe, z dala widzialne topole.
Chociaż zmęczony, przyspieszał wciąż kroku,
Jakby przypuszczał, że mu sił nie stanie,
I całą duszę umieścił w swym wzroku

Na pierwsze, długie, łzawe powitanie.
Świadomy drogi, przez laszek brzozowy
Zbiegł na dół ścieżką i zniknął w olszynie,
Aż stanął wkrótce na mostku przy młynie,
Słuchając jego z bocianem rozmowy.

Co mu powiedział bocian i młyn stary
Swoim klekotem płynącym po rzeczce?
Jakie obudził wspomnienia i mary
Ten głos dwóch starców w nieustannej sprzeczce?
Nie wiem - lecz silniej pobladły mu lica
W srebrzystym świetle bladego księżyca,
I boleść w niemej utopił zadumie,
Szukając wspomnień w śpiewnym rzeczki szumie..

Wiatr mu z bliskiego przynosił ogrodu
Znajomych kwiatów woń pamiętną, miłą...
I zaczął marzyć jak niegdyś za młodu,
Jak gdyby w życiu nic się nie zmieniło -
I cała przeszłość stanęła tak żywa,
Skupiona w jednym tęczowym obrazku -
I pierzchłe złotej młodości ogniwa
Nabrały teraz nieznanego blasku.
Cichego szczęścia najmniejsze wypadki,
Jasnym płomieniem świecące ognisko,
I te najśłodsze pocałunki matki,
I drugie również anielskie zjawisko,

Wszystko to widział w dziwnej mgle niebieskiej,
Jak poplątane cudne arabeski.

Wydarł się wreszcie tej widzeń ponęcie,
Co pieszcząc serce, krwawi je zarazem,
Zwrócił się spieszenie na drogi zakręcie,
A twarz się znowu powlokła wyrazem
Owej spokojnej, bezbrzeżnej boleści,
Co się niczego już w świecie nie lęka
I żadnej w sobie nadziei nie mieści.

Dalej za młynem stała Boża męka,
Na skrzyżowaniu drożyn pochylona,
I wyciągnęła czarne swe ramiona
Z błogosławieństwem ponad ciche pole,
Patrząc z miłością na ludzką niedolę.
Minał ją z wolna, pochyliwszy głowy,
I poszedł prosto na cmentarz wioskowy.

Topole, brzozy i wierzby płaczące
Wieńczyły miejsce spoczynku dokoła,
Schylając swoje zadumane czoła,
Jakby piastunki do snu śpiewające.
Tam pod ich strażą rozsiadły się wzgórza,
Gdzeniegdzie w czarne ubrane krzyżyki;
Gdzeniegdzie polna wczółgała się róża
Lub zielsko bujne, lub też krzaczek dziki.

W milczeniu stapał wśród mogił podróżny,
Bojąc się przerwać uroczystej ciszy -
Nadstawiał ucha na każdy szmer próżny,
Jakby przypuszczał, że jeszcze usłyszy
Głos, co go wołać zacznie po imieniu;
Z bijącym sercem przed siebie spoglądał,
Jakby na jasnym księżycu promieniu
Jaki cień drogi jeszcze ujrzeć żądał.

Lecz nic nie było słyhać - prócz tych szmerów,
Co się być zdają nadziemskich eterów
Falistym drzeniem i spływają w pieśni,
Gdy je noc ujmie w dźwięk i ucieleśni;
I nic nie widać - prócz tej gry znikomej
Drżącego światła i przelotnych cieni,
Która na fali powietrza ruchomej
Niepewne kształty rysuje w przestrzeni,
I z krzyżów, krzewów i głazów cmentarza
Coraz to nowe widziadła wytwarza.

Lecz ujrział za to w księżycowym blasku
Wśród innych mogił kamienny grobowiec.
Spojrzawszy - przykląkł na ziemię wędrowiec
I złożył głowę na wilgotnym piasku,
I przytulony do zimnego głazu
Leżał bez ruchu, życia i wyrazu.

Łza mu z suchego nie pociekła oka,
Ani też jękiem nie drżała pierś pusta -
Modlitwy nawet nie szeptały usta -
Bo wszystko boleść stłumiła głęboka,
Rzucając sercu, co padło zranione,
Nieprzytomności i szalu zasłonę.

1875

ALBUM PIEŚNI

Pani Marii z Branickich Tarnowskiej
W zamian za gałązkę z Kowieńskiej Doliny
poświęca autor

Preludium

Już niejeden obraz miły
Ciemne widma zasłoniły
I niejeden ślad zatarły,
Ślad przeszłości obumarłej.

Łzy, uśmiechy, kwiatów wieńce,
Pragnień ognie i rumieńce,
Sny miłości, szczęścia, chwały
Już się w drodze rozsypały...
Pozostały za mną w tyle
Na rozdrożach - lub mogile.

Lecz choć wszystko pierzchło, znikło,
Serce kochać nie odwykło,

I młodzieńczych natchnień chwila
Jeszcze duszę wciąż zasila;
Jeszcze czystym światłem błyska
Przez mgły ciemne i zwaliska,
I w ten życia wieczór szary
Rzuca wspomnień cudne mary.

Wciąż młodości wiara żywa
Pozrywanych snów ogniwa
W idealny wieniec splata
I wskazuje piękność świata.

Więc znów oczy mam zwrócone
Na jaśniejszą życia stronę,
Znów odczuwam - to, co piękne,
Znów przed śpiewnym głosem miękne
I swych wspomnień mary blade
Znów z miłością na pierś kładę;
A gdy serce drży boleśniej,
To przerabiam łzy na pieśni.

17 listopad 1879

Najpiękniejsze piosnki

Najpiękniejszych moich piosnek
Nauczyła mnie dziewczeczka,
Mistrzem bowiem były dla mnie

Harmonijne jej usteczka.

Te usteczka brzmiały zawsze
Jakaś piosnką, świeżą, nową,
Każdy uśmiech był melodią,
Śpiewem było każde słowo.

Wszystko, o czym serce śniło,
Wszystko, o czym nawet nie śni,
Odbijało się w jej oczach
I płynęło w słodkiej pieśni.

Więc mnie zawsze przy jej boku,
Wpatzonego w jej oblicze,
Kołysały śpiewne mury,
Czarodziejski ch brzmień słodycze.

Czegom uchem nie dosłyszał,
Czego m wzrokiem nie doczytał,
Tom z usteczek koralowych
Sam ustami swymi chwycił.

30 grudzień 1874

Rozłączenie

Ujrzał ją znowu po latach
Z krzyżykiem w ręce...

Jak spała cicho na kwiatach
Po życia skończonej męce.
Ujrzał - gdy każde swe słowo,
Każde spojrzenie łaskawsze
Uniosła w ciemność grobową
Na zawsze.

Jak obcy przyszedł tu do niej
W dzikiej rozpacz,;
Wiedząc, że główki nie skłoni,
Nie wstanie i nie przebaczy;
Więc boleść piersi mu targa,
I stoi blady jak chusta,
I straszna tłoczy się skarga
Przez jego usta.

I mówi: „Już leżysz w trumnie,
Nic cię nie wzruszy -
Nie spojrzysz litośnie ku mnie,
Nie zdejmiesz ciężaru z duszy.
Nikt losów moich nie zmieni
I klątwy nikt nie odwoła,
Nie sięgnie w morze płomieni
Ręka anioła.

Nie dojdzie do twego ucha
Moje wołanie -

Przestrzeń przegradza nas głucha,
Wieczyste ciężkie rozstanie.
Na zawsze pomiędzy nami
Ciemna się przepaść rozwarła...
Mnie czoło występek plami,
A tyś umarła!

Dla innych nadzieją błyska
Grobowca łono,
Bo wiedzą, że duch odzyska
Miłość na ziemi straconą;
Dla innych rozstania chwile
Szybko uniesie czas rączy,
I znów kochanków w mogile
Wieczność połączy.

Lecz mnie zgon również jak życie
Od ciebie dzieli -
Obcą mi będziesz w błękicie,
Jak tu na zmarłych pościeli.
Przedział otworzy daleki
Ta śmierć, co innych przybliża...
Bo nas rozdziela na wieki
Znak krzyża!”

17 listopad 1879

Daremne żale

Daremne żale - próżny trud,
 Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
 Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
 Znikomych mar szeregu -
Nie zdoła ogień ani miecz
 Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
 Po życie sięgać nowe...
A nie w uwiędłych laurów liść
 Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
 Nic skargi nie pomogą -
Bezsilne gniewy, próżny żal!
 Świat pójdzie swoją drogą.

1 kwiecień 1877

Zaczarowana królewna

Zaczarowana królewna
W mirtowym lasku drzemie;

U nóg jej lutnia śpiewna
Zsunęła się na ziemię.

Niedokończona piosneczka
Uśmiechem lśni na twarzy;
Drżą jeszcze jej usteczka -
O czymś rozkosznym marzy.

Marzy o jednym z rycerzy,
Że idąc przez odmęty,
Do stóp jej tu przybieży
I przerwie sen zaklęty.

Lecz rycerz, co walczył dla niej,
Ten męstwo swe przeceniał -
Zabłąkał się w otchłani...
I zwątpił... i skamieniał.

14 października 1874

Za moich młodych lat

Za moich młodych lat
Piękniejszym bywał świat,
Jaśniejszym wiosny dzień!
Dziś nie ma takiej wiosny,
Posępny i żaloszny

Pokrywa ziemię cień.

Za moich młodych lat

Wonny miłości kwiat

Perłowym blaskiem lśnił -

Dziś blaski te i wonie

Na próżno sercem gonię...

Czarny je obłok skrył.

18 listopad 1874

Na początku

Na początku nic nie było...

Tylko przestrzeń ciemna, pusta -

Wtem jej czarne błysły oczy

I różowe, świeże usta.

Od jej spojrzeń, od rumieńca

Zajaśniała światła zorza,

A gdy pierwsze rzekła słowo,

Ziemia wyszła z głębi morza.

Gdy przebiegła ziemię wzrokiem,

Śląc jej uśmiech - rój skrzydlaty

Wzleciał ptaków i motyli,

A spod ziemi wyszły kwiaty.

Lecz nie istniał jeszcze człowiek,
Tylko martwa gliny bryła -
Aż nareszcie swym płomiennym
Pocałunkiem - mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia
W cudowności jasnym kraju...
Lecz mnie również tak jak innych
Wypędzono z tego raj.

3 grudzień 1879

Miłość jak słońce

Miłość jak słońce - ogrzewa świat cały
I swoim blaskiem ożywia różanym;
W głębiach przepaści, w rozpadlinach skały
Dozwala kwiatkom zakwitnąć wiosnianym
I wyprowadza z martwych gładów łona
Coraz to nowe na przyszłość nasiona.

Miłość jak słońce - barwy uroczeni
Wszystko dokoła cudownie powleka;
Żywe piękności wydobywa z ziemi,
Z serca natury i z serca człowieka,
I szary, mglisty widnokrąg istnienia

W przedzę z purpury i złota zamienia.

Miłość jak słońce - wywołuje burze,
Które grom niosą w ciemnościach spowity,
I tęczę pieśni wiesz na łez chmurze,
Gdy rozplakana wlatuje w błękity;
I znów z obłoków wyziera pogodnie,
Gdy burza we łzach zgasi swe pochodnie.

Miłość jak słońce - choć zajdzie w pomroce,
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca
Powraca smutne rozpromieniać noce
I przez ciemności przedziera się drżąca,
Pełna tęsknoty cichej i żałoby,
By wieńczyć śpiące ruiny i groby.

21 listopad 1877

Nieśmiertelni

Przez mgły czasu, w otchłań wieków
Zaglądając - widać w dali
Pośród mętnych plemion ścieków,
Wśród burzliwej ludów fali,
Nieśmiertelnych, co przetrwali
Długą kolej pierzchłych wieków.

W próchnie ziemi, w dziejów pyle
Rozjaśnione twarze świecą;
Ku nieznannej ich mogile
Duchy nowych mężów lecą,
By wyprosić światła nieco
Na jutrzejszą świtań chwilę.

Na świeczniku z trupich kości,
Nie zgryzieni pleśnią rdzawą,
Stoją żywcem wśród ciemności
Nad przebrzmiałą życia wrzawą
I płomieniem swym jaskrawo
Oświecają twarz ludzkości.

Każdy w swego wieku łonie
Całą jego myśl zawiera -
Ster przyszłości biorąc w dłonie,
Nową jutrznię rozpościera,
A zaczęta przezeń era
Nieśmiertelne wieńczy skronie.

3 grudzień 1879

Panienczka...

Panienczka, panienczka
Czesze złoty włos,

Śpiewną piosnką brzmia usteczka,

Nuci sobie w głos:

Białe lilie cicho drzemią,

Otulone w cień,

Kołysane ponad ziemią

Falą chłodnych tchnień.

Noc zamyka im kielichy,

Strzegąc czystych szat,

W niewinności pozór cichy

Stroi biały kwiat;

I powiada: Śpijcie w cieniu!

Śpijcie, póki czas -

Gdy zaświta - w swym płomieniu

Słońce spali was.

Nie wdychajcie, ach, przedwcześnie

Do skwarne go dnia -

Wymarzone szczęście we śnie

Krótko potem trwa.

Ale lilie, choć stulone,

Nocny piją chłód,

Już w słoneczną patrzą stronę

Na różowy wschód.

Oczekują tęsknie chwili,
Gdy z pieśczożą już
Biały kielich im odchyli
Blask promiennych zórz.

I daremnie noc na straży
Swych udziela rad -
O miłości dziewczę marzy,
A o słońcu kwiat.

1880

Dzieje piosenki

Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety,
Jako tęcza na marzeń obłoku;
Śpiewnych dźwięków odziana sukienką,
Drgnieniem serca dobyta z nicości,
Przyszła na świat naiwną piosenką
Miłości.

Upajała melodyjnym tchnieniem
Pierś młodą
I nad starców rozwianym marzeniem

Słodkich wspomnień jaśniała pogoda;
Wzgórza brzmiały jej rozkosznym echem,
Przedrzeźniali ją faunowie leśni,
Płocze nimfy wtórzyły z uśmiechem
Tej pieśni.

Przeszły wieki świeżości młodzieńczej
I krasy -
Nikt się teraz różami nie wieńczy,
Wchodząc z troską codzienną w zapasy;
Nie słuchają już nimfy na łące
I nie wtórzają piosnkom w wieczór letni;
Zagłuszyły dziś burze huczące
Głos fletni.

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,
Wciąż wraca!
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka
Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca,
Wraca z każdą serc i wieków wiosną,
Pełna dziwnej, niespożytej siły
I roztacza wkoło woń miłosną
Z mogiły.

20 listopad 1878

Nie mów

Nie mów, chociażbyś miał ginąć z pragnienia,
Że wszystkie źródła wyschły już bijące! -
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów, chociażbyś umierał z tęsknoty,
Że nie ma czystej miłości na ziemi! -
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędniemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu - marą jest zwodniczą!
Zdrój czystych uciech będzie innym szumiął
I inne serce poił swą słodyczą.

25 listopad 1878

W TATRACH

*Mieczysławowstwu Pawlikowskiemu na pamiątkę
chwil wspólnie spędzonych w Zakopanem
z wyrazem przyjaźni*

Wstęp

O matko ziemio, dobra karmicielko!
Żywisz nas hojnie przy swej piersi mlecznej
Niebieskiej rosy ożywczą kropelką

I promieniami jasności słonecznej,
Które przerabiasz na chleb, co się mnoży
Codziennym cudem wiecznej myśli bożej.

O matko ziemio! ty nam dając ciało,
Zbudzoną duszę karmisz na swym łonie -
Dajesz jej poznać świata piękność całą,
Oprowadzając przez błękitne tonie,
I po gwiazdzistym unosisz przestworze,
Co dzień poranku odnawiając zorze...

Roztaczasz przed nią kształtów nieskończoność
I coraz nowe przesuwasz obrazy,
Stroisz się w błękit morza, w łąk zieloność,
W błyszczące piaski, w niebotyczne głazy,
Rozwijasz widzeń tęczę malowniczą
I świeżych wrażeń napawasz słodyczą.

Ty ją przenikasz barw i dźwięków falą,
Przez zmysły drogę otwierając do niej,
Rzucasz w nią ogień, co się wiecznie palą
W obłoku marzeń i kwiecistej woni,
Podajesz przędzę, którą ona bierze,
Snując z niej dalej pasma uczuć świeże.

Ty jej swe wszystkie skarby zgromadzone
Rzucasz na pastwę z rozrzutnością matki,

Pozwalasz zdzierać z twarzy swej zasłonę
I coraz nowe zadajesz zagadki,
Kryjąc w swej dłoni jako Izys czarna
Kwiaty lotusów i pszeniczne ziarna.

Dobra piastunko! trzymasz nas tak mocno
Na swojej piersi, co się ciągle chwieje -
Sny cudowności zsyłasz porą nocną,
A we dnie własne opowiadasz dzieje...
Nawet prostaczkom dając mądrość wielką,
Dobra piastunko i nauczycielko!

My się nie możemy oderwać od ciebie,
Ciężarem ciała z ciałem twym spojeni,
I chociaż myślą wzlatujęm po niebie,
Sny zaświatowe ścigając w przestrzeni,
Musimy zawsze czuć pod nogą swoją
Ten grunt, na którym kształty nasze stoją.

Musimy z tobą w zgodzie żyć - inaczej
Duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej,
W złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczce,
W sennym omdleniu lub walce daremnej,
I poza światem pędzi żywot chory,
Nie mając twardej dla siebie podpory.

Musim żyć z tobą w zgodzie - do mogiły,

Chociaż cel wyższy stawiamy przed oczy -
Pragnąc zaczerpnąć świeży zasób siły,
Każdy z nas musi w walce, którą toczy,
Tak jak Anteusz dotykać się ziemi...
Bośmy, o matko, wszyscy dziećmi twemi.

Na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty,
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki;
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,
Swych poprzedników prochy i pamiątki,
I każdy tylko na swej własnej niwie
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Tam tylko znajdzie odpowiednie soki,
Właściwy zakres i warunki bytu,
Skwarny blask słońca albo cień głęboki,
Modrą toń jezior lub krawędź granitu,
Tam kształt i barwę właściwą przybiera,
Na czas dojrzewa - i na czas zamiera.

Zna się z burzami swej ojczystej strony
I z tchnieniem wiosny, która go upieści...
I od początku idzie uzbrojony
Na rozkosz życia i jego boleści.
Więc nic dziwnego, że nad wszystkie inne
Musi ukochać zagony rodzinne.

To przywiązanie, które ludzie prości
Czerpią z cichego z naturą przymierza,
Stwarza ojczyznę jako cel miłości
I coraz więcej zakres swój rozszerza,
Aż cały krąg twój obejmie, o ziemio!
Razem z zmarłymi, co w grobowcach drzemią.

A kto ukochał ciebie sercem swoim
I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,
Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
Spojrzeniem matki i matki pieśczętą
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do ciebie przybędzie złamany,
Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,
Ty, dobrotliwa, zagoisz mu rany
I spędzisz z duszy palący ból życia,
I cierpiącego pojednasz człowieka
Z tym, co już przeżył, i z tym, co go czeka.

I wszystkim, którzy do ciebie się garną,
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo;
Młodzieńcom dajesz serca moc ofiarną,
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą,
Zadowolenie, co twarz krasi bladą,
I uśmiech, z jakim do grobu się kładą.

Bo ty, o matko, masz dla swoich dzieci
Zawsze miłością promienne oblicze,
I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,
Kiedy zamykasz miłosierne łono
Nad garścią prochów - prochom powróconą.

7 stycznia 1880

Ranek w górach

Wyzłoczone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole - lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannym oświetleniu
Mknie się z wolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza
Na krawędziach skał osiada.

A spod sinej tej zasłony

Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyłoczonej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swym łonem świecą czystym,
W granitowej świecą bieli
W tym powietrzu przezroczystym.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza -
Gra przelotnych barw i cieni

Coraz szerszy krąg zatacza.

Już źródł srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy...

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny - aż szalasu
Dolatuja śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce,
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta -
Dusza wybiec chce oczyma
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

23 listopad 1878

Morskie Oko

I

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co w koło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posepne jezioro,
Odzwierciedlając w łonie gładów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;
Na nim pogięte, krzywe kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki, wyniesione w chmury,
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczają...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza - tylko w oddali gdzieś potoki pluszcza,
Lub wichry, przelatując nad zmartwiałą puszcza,
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

II

Tu myśl twórcza straszliwą pięknnością wykwita:
Pięknnością niezmierzonej potęgi i siły,
Co gromami na skałach rozdartych wryta,
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej bryły.

Dziki zamęt! - Głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła - rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody, co czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje, jak mała dziecina,
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

III

Słońce, gdy na zachodzie złotą tarczę skłoni,
Purpurą zdoła jeszcze skał korony wierzchnie -
Tysiąc tęczowych światłał po szczytach się goni,
Tu zsinieje... tam ogniem zaświeci... znów zmierzchnie;

A w dole na jeziora zamaconej toni
Odbity blask zakrwawia drżących wód powierzchnię,
Póki skrwawionej fali płaszcz mgły nie osłoni
I ostatni rumieniec wieczoru nie pierzchnie.

Wszystko zgasło... świat cały napelniony mrokiem...
Granitowe olbrzymy majaczej w dali -
Rosną w bezmiar i kształty zmieniają przed okiem...

Mgła pokryła przepaści szarym swym obłokiem
I jezioro zniknęło... lecz słysząc szum fali,
I z gór lecący potok wymowniej się żali...

IV

Noc króluje - na głowę kładzie gwiazd diadem;
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca;
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek stadem.

Wszystko topnieje w świetle niebieskiem i bladym,
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodospadem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Z wolna cała kotlina z śpiących wód topielą
Wynurza się, jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża przeraźliwym odbłaskiem się bielą,

Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą;
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,
Przypominając piekiel dantejskie okręgi.

V

O wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wicczystem?
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę

I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łożę?

Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?

Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze

I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! ciebie tylko można

Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,

Gdy pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,

Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna

I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

1876

Kościeliska

Oto tatrzańska sielanka

Łagodną wabi ponętą,

Jak dziewczę, co uśmiechniętą

Twarzyczką wita kochanka...

Przez skał rozdartych podwoje

Przegląda wąwozu łono,

Gdzie szumią srebrzyste zdroje

Melodię głazom nuconą -

Przez skał rozdartych podwoje
Świerk zwiesza konary swoje,
I słońca blask się przeciska...

To Kościeliska!

Zielona skacze dolina
Przez strumień z brzegu do brzegu;
Gdzie potok wstrzyma ją w biegu,
Na góry łączką się wspina
I postać przybiera sielską,
Strojąc się w trawę i zielsko,
I kwiaty do swego wianka
Wplatając ręką niedbałą...
A dołem, skryta pod skałą,
Z marmurowego wciąż dzbanka
Czysta najada swe fale
W przejrzystym sączy kryształe
I strąca potok z urwiska...

To Kościeliska!

Pionowo sterczące skały
Iglami świerków się jeżą,
W ciemną się zielen ubrały,
Lecz w balsamiczną i świeżą,
Z której gdzieś szczyt biały
Kamienną wytryśnie wieżą,
Lub nagie wapienia ostrze

Szeroko pierś swą rozpostrze.
Za każdym drogi zakrętem
Cały krajobraz się zmienia;
Jakby w królestwie żakietem
W głąz zamienione marzenia,
Dziwaczne fantazji gmachy
Z wejrzeniem coraz to nowem,
Wiszące ściany i dachy,
Tłoczą się ponad parowem
Lub uciekają w lazury,
Ręką marzącej natury
Wypchnięte z ziemi ogniska...
 To Kościeliska!

Srebrzyste wstęgi katarakt,
Oprawne w zielony szmaragd
Mchów rozesłanych na skałach
I drobnolistnych paproci;
W powietrzu pełno wilgoci
I chłód rzeźwiący w upałach -
Zwalone kłody i mosty,
Łomy strącone z wierzchołków,
Rdzawe na głązach porosty,
Co woń roznoszą fiołków,
Żywiczne świerków oddechy,
Błękitnych niebios uśmiechy
I spokój dla duszy słodki -

I zawieszono wysoko
Nad niedostępną opoką
Gwiaździste, srebrne szarotki -
Wszystko się srebrzy lub złoci...
W kropelkach świeżej wilgoci
Tęczową barwą połyska...
To Kościeliska!

14 sierpień 1879

Noc pod Wysoką

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kapany:
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom,
Wciśnięta między dwa ramiona góry,
Kotlina, pełna granitowych łomów,
Które z daleka sterczały, jak mury
Zdobytej twierdzy lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołków piramid

Pokryta. - W głębi toń jeziora sina
I mchu na głazach zielony aksamit...
Zresztą ni trawki, ni krzewu - jedynie
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.
Tu na jeziora zeszliliśmy wybrzeże,
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonym jeziora zwierciadłem,
Co z brzegów w śniegi oprawne i lody
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem: jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem: jako na posepnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potraça i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,

Przypominając sobie ludzką dołę,
W której, ach nieraz, wszystkie dobre chęci
W zaklętym muszą obracać się kole...

Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniwały pod mgieł mleczną szatą,
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady...
Mrok zwiększył martwość pustkowiecia kamienną,
I obszar zastygł, posepny i blady,
I swym strasliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzymia,
Rozpościerając dokoła nade mną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata;
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,

Przed niezblaganym bezlitosnym prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajemem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
I sam złożyłem głowę na posłaniu,
W półsennym teraz pogrążeń dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przeźroczyście,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste,
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte;
Zostało jedno wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad którymi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokęgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza - a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągle wrzenie słyszy,

Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głązów łoskot głuchy,
I wszystkie świata na współsenne ruchy.
Czasami skała u szczytu wisząca
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potem...
Aż rozsypany głąz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści.

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepczą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem źródła;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiazdziste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiazdziste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile

I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży.
On się zanurzył w źródle wiecznie żywym,
Poruszającym wielkie koło bytu;
Uczuł się jednym łańcucha ogniwnem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

5 listopad 1879

Letni wieczór

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg -
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słyhać śpiew
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sonej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz
Cicha poezja światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnymi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok,
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświetla obraz ten -

Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

18 grudzień 1879

Podczas burzy

Dołem - wichur ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po szerniałym lesie
I gromami w głąb wąwozów ciska...
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne jak dawniej błękity.

Ach! tak samo na drogach żywota:
Nieraz burza szaleje nad głową,
Wichur nami nad przepaścią miota,
A grom ciemność oświetla grobową;
Jednak wyżej - widać błękit nieba...
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

17 grudzień 1879

Limba

Wysoko na skały zrębie
Limba iglastą koronę

Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu...
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żalobą
Chyli się ponad urwisko
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków rosnących nisko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej na nowo!
Ona się w chmurach kołysze -
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie -
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na tryumf rzeszy poziomej...
Woli samotnie z błękitu
Upaść strzaskana przez gromy.

1880

Wodospad Siklawy

Jakaż to prządka snuje białe nici,
Które wśród głazów migają tak żywo,
Że je z daleka ledwie wzrok pochwyci?
Jakaż to prządka rozpierzchłe przedziwo
Łowi po skałach strojnych w szarą pleśń?
I z drobnych nitek srebrną wstęgę przędzie,
I przez granitów przewiesza krawędzie,
Nucąc wieczyście jednobrzmiącą pieśń?

To wartki strumień szumiącej Siklawy
Zagarnia wkoło śnieżne ścieki gór,
Na nić swą czarne nawiązuje stawy
I wiedzie głośny z kamieniami spór;
To potok wzbiera siatką wód pajęczą
I coraz głębiej pierś wąwozu orze,
I znika w ciemnej gardzieli otworze,
Kończąc krajobraz wodospadu tęczę.

Skromny to potok! a jednak w swym biegu
Tyle piękności naszych gór jednoczy -
Chylą się nad nim ściany pełne śniegu,
I gonią za nim czarnych stawów oczy.
Za nim piętrami spadających wzgórz
Ciagną się gruzem zasłane rozdroża,
Jak falujące a zastygłe morza,
Co skamieniały wśród pierwotnych burz.

Skromny to potok! lecz tak wdzięcznym rzutem
Zamyka wąwóz na błękitów tle,
Tak pięknie ginie w wnętrzu skał rozprutem,
Znikając w tęczach albo w sonej mgle.
Skromny wodospad! nie ma w świecie sławy,
Lecz tak mu pięknie w ukrytej czeluści,
Gdy na wiatr wstęgi srebrzyste rozpuści
Skromny wodospad szumiącej Siklawy.

18 grudzień 1879

Ulewa

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sonej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz

I rosę z chmur wyciska -

A strugi wód z wilgotnych paszcz

Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór

Zasłony spadły sine,

W deszczowych łzach granitów gmach

Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic - błękitów tło

I całe widnokregi

Zasnute w cień, zalane mgłą,

Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień, i noc, i nowy wschód

Przechodzą bez odmiany -

Dokoła szum rosnących wód,

Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz, i świszczę wiatr,

Głośniejszy potok gniewa,

Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr

Mrok szary i ulewa.

30 lipiec 1879

Maciejowi Sieczce Przewodnikowi w Zakopanem

Mój przewodniku! tyś mnie wiódł przez góry,
Dając mi poznać ich poezję świeżą,
Nagą, dziewiczą piękność tej natury,
Nie zeszeconą mdłych legend odzieżą,
Nie rozdrobnioną na powszednie rysy,
Zdawkowe słowa, zdawkowe opisy.

Tyś ją pojmował swoim sercem prostem
Wiernie, jak staje wyciosana z głazów;
Nie pociągałeś fałszywym pokostem,
Co kryje nicość bezmyślnych obrazów,
Ale umiałeś jędrne znaleźć słowo,
Aby jej wielkość wyrazić surową.

Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej,
Bez wykrzykników i przenośni bladej,
I w dzikich formach, które ona sklepi,
Nie szukać natchnień niemieckiej ballady,
Lecz na nią okiem spoglądać górala,
Co wszystkie wierchy rozpoznaje z dala.

Tyś mnie nauczył, drapiąc się na turnie,

Nie brać przyborów romantycznej muzy
I na klasycznym nie stąpać koturnie
Przez naszych żlebów kamieniste gruzy,
Ale wesoło, bez zawrotu głowy
Mijać głęboko wycięte parowy.

Pamiętam, nieraz siedząc na upłazku,
Rzeźbiłeś słowem Tatr skalisty wątek,
Każdy szczyt w wiernym schwytałeś obrazku,
Każdej doliny koniec i początek,
I piętr górzystych oznaczałeś biegle
Trawiaste kopy i lesiste regle;

Umiałeś kształty każdego olbrzyma
Z gór zębatego grzebienia wydostać,
Wskazać, jak drugich ramieniem się trzyma,
Jaką przybiera z każdej strony postać,
I na swych palcach przedstawiałeś żywo
Każde odrębne łańcucha ogniwo;

Ukazywałeś ciemne wód lusterka
W wgłębieniach, w śniegu błyszczące oprawie,
Siklawy w przepaść skaczące z piętka,
Wnętrza wąwozów splątanych ciekawie,
Kierunek dolin i strumieni koryt,
Wszystkim właściwy nadając koloryt.

Wszystko, coś mówił - miało więcej wdzięku,
Niż romantyczna daje opisowość,
Bo mówiąc, miałeś pierś natury w ręku -
A każde słowo dziwną miało nowość,
Świeżą poezję górskiego powietrza,
Dla której rymów i porównań nie trza.

I nie prawileś mi spłowiałej bajki
O dziwożonach lub zaklętych skarbach,
Lecz dym puszczając z swej króciutkiej fajki,
Juhasów w żywych malowałeś farbach,
Życie w szałasach i życie na hali,
Dolę-niedolę pasterskich górali.

Ich ciemne twarze i kożuszki smolne,
Zgrzebne koszule, ciupagi i pałki
Więcej mi serce rozgrzać były zdolne
Niż wszystkie gnomy, ondyny, rusalki,
Co w Tatr poważnych wyniosłym łańcuchu
Tak wyglądają - jak kwiat przy kożuchu.

Żadne się bowiem widmo nie przyswoi
Tej wyniesionej pod niebo pustelni,
Gdzie tylko jeden duch na straży stoi,
Bez kształtów, w które chcą go wprząc śmiertelni:
Duch wszechświatowy, duch wód i kamieni,
Co się w milczącej unosi przestrzeni.

Przy nim już nie ma dla fantazji tworów
Odpowiedniego miejsca wśród tych wyżyn -
Wielka symfonia turni, hal i borów
Nie znosi ludzkich trefień i postrzyżyn,
Nie znosi skrzydeł przyprawnych z tektury,
Gdy sama cała wlatuje do góry.

Ty czuleś dobrze, że wielkość przyrody
Nie potrzebuje bielidła i rózu,
Że miło patrzeć na schodzące trzody,
Gdy z gór pędzone w szarym skaczą kurzu,
I że tatrzańskiej polany nie szpeci
Wkoło szalasu chwast na stosach śmieci.

Tyś czuł, że prawda piękna - chociaż naga,
Gdy jest odczuta silnie a głęboko;
Że tracić musi dzika gór powaga,
Gdy fantastyczną okryć ją powłoką,
I że nie trzeba robić z skał posągów
Ani wytwarzać różnych dziwolągów.

Tyś czuł, że każda z okolic mieć musi
Swoją wdzięk właściwy i wyraz odrębny -
Że Tatrom trzeba bydła, a nie strusi,
Że zapatrzone w niebo wiejskie bębny
Piękne są - tworząc harmonię pastuszą,

Do której trzeba dostroić się duszą.

Twa estetyka prosta, domorosła,
Znała jednakże widnokreśli szersze,
I choć nie byłeś poetą z rzemiosła,
Co mierzy swoje uczucia na wiersze,
Choć nie goniłeś w laur zmienionej Dafne,
Poczucie piękna zawsze miałeś trafne.

I realizmu powszedniego mistrze
Nie mogą ciebie w swej zamieścić szkole...
Boś kochał wszystko jaśniejsze i czystsze
I nie lubiłeś pozostawać w dole,
Lecz rozumiałeś, że ludziom potrzeba
Piąć się - by wyrzeć oczami do nieba.

Dobrze więc było mnie pod twoją wodzą
W królestwie głazów dni pogodne przeżyć,
Chwytać wrażenia, jak same przychodzą,
Piersi nieznanym uczuciem odświeżyć
I w samym źródle piękności i czarów
Ożywczą rosę z śnieżnych pić wiszarów.

Dobrze mi było, idąc za twym śladem,
Zdobywać z trudem mało znane szczyty
I z rączych kozic spotykać się stadem,
Przeskakującym granitowe płyty,

I na najwyższym ostrej turni zębie
Ogarniać wzrokiem nieprzejrzone głębie.

A chociaż czasem deszcz lał jakby z cebra
I trzeba było zmoczonym do nitki
Umykać na dół z skalistego zebra,
By gdzie w szczelinie czas przeczekać brzydki,
Tyś miał w zapasie zawsze myśl wesołą,
Co rozchmurzała zasepione czoło.

I słodko było gwarzyć z tobą potem,
Po całodziennym spoczywając znoju
Pod rozpostartym błękitów namiotem,
Ponad brzegami jeziora lub zdroju,
Gdzieśmy budzili krzykiem echa dolin
I chleb chwyтали - głodni jak Ugolin.

A gdy ostatnie gasły zórz kolory,
Wtedy i nasze przycichły gawędki...
Bośmy słuchali, co szumiały bory,
Co na kamieniach szemrał potok prędkie,
Myśmy milczeli... a gwarzyły skały...
I tak wśród marzeń dzień nadchodził biały.

To wszystko jeszcze w mych myślach się kręci,
I wszystkie twoje starania i prace
We wdzięcznej u mnie zostały pamięci -

Więc dług wdzięczności wspomnieniami płacę,
Które, jakkolwiek spelzły na papierze,
Jednak gór tchnienie przechowują świeże.

29 sierpień 1879

Giewont

Stary Giewont na Tatr przedniej straży
Głową trąca o lecące chmury -
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

Przez ciąg wieków wznosi dumne czoło
I wysuwa pierś swą prostopadłą,
Patrząc z góry na wieśniacze sioło,
Co pokornie u nóg jego siadło.
Przez ciąg wieków straż swą nad nim trzyma
Z troskliwością dobrego olbrzyma.

Wypiaستował już pokoleń wiele,
Które wieczny związek z nim zawarły,
Z nim złączyły swe losy i cele,
Przy nim żyły i przy nim pomarły,
Nawet myślą spod jego opieki
Nie wybiegłszy nigdy w świat daleki.

Wypiautował cały ród górali -
On ich widział, gdy dziećmi radośnie
U stóp jego bawiac się pełzali,
Widział młodzież, jak mu w oczach rośnie,
Jak się krząta koło swego plonu,
Widział potem starców w chwili zgonu.

Zna więc dobrze bieg ich trwania krótki,
W ciasnym kółku zamknięte nadzieje,
Ich radości, pragnienia i smutki,
Co ich boli, co im piersi grzeje;
Zna zabiegi i spory gorące
O kęs ziemi na polach lub łące.

On się przyjrzał kolejom powszednim
I był sędzią już niejednej sprawy...
Nieraz w nocy rozegrał się przed nim
Jaki dramat posepny i krwawy -
Widział różne skryte ludzi czyny,
Widział cnoty, widział także winy.

Lecz choć czoło chmurami powleka,
Zbyt surowo nikogo nie sądzi,
Bo zna dolę biednego człowieka,
Który idąc na oślep zabłądzi
I o głodzie wzrok obraca chciwy

Na żyźniejsze swych sąsiadów niwy.

Raczej czuje dla tej biednej rzeszy
Wielką litość w piersi swej kamiennej;
Od kolebki bawi ją i cieszy,
Z każdą chwilą biorąc strój odmienny,
Przed jej okiem stroi się i wdzięczy,
Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

Dla niej wstaje w gęstej mgły zasłonie,
Którą z wolna zrzuca z ramion we dnie,
Dla niej w wieczór cały ogniem płonie
I szarzeje, mroczy się i blednie,
Zawieszając księżyc w swojej szczyrbie,
Jakby srebrną Leliwę miał w herbie.

Dobry olbrzym! Troszczy się o ludzi,
Co się jego powierzyli straży -
Śpiące dusze z odrętwienia budzi
I piękności poczuciem je darzy,
I rozrzuca nad dzieciństwo nocą
Pierwsze blaski, które życie złocą.

Tak jak w baśni: kocha się w pasterce
Dobry olbrzym i dobiera kluczy,
By otworzyć na wpół dzikie serce;
Tak jak w baśni: swych tajemnic uczy,

Uczy znosić ciężkie losu brzemię
I miłować swą rodzinną ziemię.

1880

Na zgon poezji

Nie! nie umarła, jak to próżno głoszą,
Ta jasnych krain pani i królowa,
Co serca ludzkie napawa rozkoszą;
Żaden ją grabarz pod ziemię nie schowa,
Nie stłumi natchnień, które pierś jej wznoszą,
Nie skazi wdzięku cudownego słowa,
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,
Już z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

Ci, którzy mówią ciągle o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie?
Ze się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu młodości, co wieczyście płonie
I czarodziejsko w jeden węzeł splata
Marzenia ludzi z pięknosciami świata?

Czyliż nie wiedzą, że ona jest wszędzie
Rozlaną w całej błękitów przestrzeni,
Że ciemnych jaskiń przenika krawędzie

I świeżym liściem w gruzach się zieleni,
A choć zużyte porzuci narzędzie,
Choć dawne swoje koryto odmieni,
To w nowych myślach, uczuciach lub czynie
Naprzód z wezbranym prądem życia płynie?

Na cóż więc trwoga o jej przyszłe losy?
Czyliż zabraknie wiosennych błękitów?
Czyliż zabraknie łez ożywczej rosy,
Snów bohaterskich, miłosnych zachwyków?
Czyliż ucichną tajemnicze głosy
Stłumionych pragnień i rozpaczy zgrzyków,
I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,
Co żywi całych pokoleń nadzieje?

Nie! nic nie zginie z uczuć przędzy złotej,
Choć wzór powolnej ulegnie przemianie -
Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie;
Zawsze te same słowicze tęsknoty
I żądza szczęścia ta sama zostanie
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę;
Dźwięki tak znane, a tak wiecznie nowe.

Niewczesne wasze żale, o wróżkowie,
Co nieśmiertelnej śmierć wróżycie pewną;
Ona się w martwym nie zamyka słowie,

Nie jest zaklętą w marmur ani w drewno,
Lecz ma sklepienia niebios za wezłowie,
A na usługi sfer harmonię śpiewną,
I rządzi z góry sercem niewolnika -
Jak chce, zstępuje - i kiedy chce, znika.

Ona żyć będzie, choć jej oddźwięk zgłuchnie
W lutniach śpiewaków i sercach słuchaczy;
Ona w grobowym przechowa się próchnie,
Przetrwa mrok zwątpień i burzę rozpaczy
I świeżym ogniem w przyszłości wybuchnie,
I znowu świat ją schodzącą zobaczy,
Biorącą berło, by rządzić wszechwładnie,
I znów z miłością do nóg jej upadnie.

Ta trumna, którą do grobu składacie,
Zawiera tylko kształt jej już przeżyty,
Uwiędłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity.
Wolno wam płakać po kochanki stracie,
Co w was młodsze budziła zachwyty,
Ale nie wolno orzekać - że ona
Dla serca ludzi na zawsze stracona.

Wy się nie troszczcie o nią - o wróżbici!
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,
Lecz dawnych marzeń potargane nici

Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W którym znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią - bo ona w obłoku
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

18 grudzień 1879

Oda

W ciemności czasów,
Wśród krzywd i gwałtów kolei złowrogiej,
Wśród krwawych o łup zapasów,
Wśród nienawiści i trwogi,
Nad grozą powszechną bytu,
Nad dzikim żyjących zgiełkiem,
Jak gwiazda na tle błękitu,
Niebiańskim płonie światłem
Miłość, co całej królując naturze
I słodsze budząc pragnienia,
Ucisza walki... i burze
W jasność przemienia.

Cichą ponętą,
Pociągami zmysłów i czarem rozkoszy
Srogość łagodzi zawziętą,
Zajadłość zemsty rozproszy...

Gdy usta ogniem zapali
I pocałunkiem połączy,
To z ust płonących koralu
Do serca słodczy przesączy
I z miłosnego kochanków uścisku
Wytwarza węzeł wśród świata,
Który przy wspólnym ognisku
Wrogów pobrata.

Z namiętnych zmysłów upojeń,
Z cielesnych pragnień i szalu,
Dnieje świt uczuć i rojeń,
Brzask ideału;
I płomień żądzy znikomej
Blaskami coraz jaśniej czystsze,
Ogarnia światów ogromy,
Niebios zbliża ku ziemi.
Coraz to głębiej w sferę ducha sięga,
I w sercu, co z wolna mięknie,
Rozmówienie w nieśmiertelnym pięknie
Szczepi miłości potęga.

Coraz to wyżej i dalej
Chór duchów wiezie skrzydlaty
I na kształt świetlanej fali
Przenika światy.
Tchnieniem harmonii i zgody

Boski porządek z zamętu dobywa,
Wiąże plemiona i rody
W jednej całości ogniwa;
Nie tylko samą rozkoszą nietrwałą
Sercom napawać się każe,
Lecz uczy wznosić dla Bóstwa ołtarze
I jego oddychać chwałą.

Po szczeblach stopniowych przemian,
Na idealnej podnosząc się zorzy,
Zwycięska miłość dla ziemian
Najsłodsze dary swe mnoży;
W stubarwne mieniąc się blaski,
Cierpiącej, znękanej rzeszy
Litości, pociechy, łaski
Promienie rozsyłać śpieszy.
Spod stóp jej wszystkie uczucia wy kwitną,
Zdobiąc owiane jej tchnieniem istoty -
I poryw serca staje się już szczytną
Miłością prawdy i cnoty.

Świat się zaludnia powoli
Orszakiem czystych, szlachetnych postaci,
Co cudzej służą niedoli,
Dla szczęścia pracują braci.
Synowie światła i chwały,
Jasne półbogi się wznoszą,

Którym kochanką świat cały,
A poświęcenie rozkoszą...
I idą własną ofiarować mękę
Z wielkiej dla istot cierpiących miłości,
Dobra i prawdy zapalać jutrzenkę
W ogniu duchowej wolności.

18 grudzień 1878

Do młodych

Szukajcie prawdy jasnego płomienia!
Szukajcie nowych, nie odkrytych dróg...
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśńcie kwiaty barwnych mitów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzenie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwyków,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,

Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi -
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

1880

Kantata na jubileusz J. I. Kraszewskiego

Chór

Szczęśliwy, komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy
I ujrzeć myśl swą przechowaną,
I najpiękniejsze zdobyć wiano

Z kłosów, co niosą mu rodacy.
Szczęśliwy, kto swą pierśią własną
Wykarmił całe pokolenia

I wytknął dla nich drogę jasną,
I w nowych jutrzniach, co nie gasną,
Ogląda dzieło odrodzenia.

Szczęśliwy, kto szedł naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą;
I walcząc w ciszy i pokoju
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Nie zaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy! Palmy zwycięstw z dłoni
Nie wydrze ramię mu niczyje -
Burza go nieszczęść nie dogoni -
On wyszedł z ciemnej losów toni
I nieśmiertelny w sercach żyje.

Głos

I naród żyje, gdy mu przodem
Pochodnia wielkich myśli świeci;
I jeszcze wielkim jest narodem,
Gdy się odświeża życiem miodem,
Wydając z siebie takie dzieci.

Żyje, gdy na świat z jego łona
Wychodzą zbrojni wciąż rycerze,
Których wróg żaden nie pokona,
A ludzkość ze czcią ich imiona

Wpisuje w dziejów karty świeże.

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia,
I w ślad za myślą idzie żywą,
I zbiera świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

Chór

Więc w uroczystym dziś obchodzie
Wielkiego męża czcimy święto!
W bratniej miłości, w bratniej zgodzie,
Nieś mu życzenia swe, Narodzie:
Niech kończy pracę rozpoczętą.

Niech rozpościera jasność wszędzie
I zbiera owoc swoich trudów;
W wielkich zdobywców stając rzędzie,
Niechaj Ojczyźnie swej zdobędzie
Cześć i braterstwo wszystkich ludów.

Niech dzień ten przyszłość nam zapowie,
Do której z wolna ludzkość wiodą
Najszlachetniejsi jej synowie;
A czyn, zamknięty dotąd w słowie,
Najmilszą będzie mu nagrodą.

1879

W ciemności grobu

Ciebie już, w ciemność spowitą i w ciszę,
Sen nieprzespany łagodnie kołysze,
Na grozę śmierci oczy ci zasłania
Wiecznymi blaski rajskiego świtania,
I żadnych w sobie udręczeń nie mieści,
I żadnej z życia minionych boleści.

Za to ta cała noc grobu straszliwa
Mnie bezsennego swym mrokiem pokrywa,
Przez nie domknięte wciskając się oczy,
Widomą grozą serce me otoczy.

Za to mnie śmierci milczenie powleka,
Jak zbudzonego w mogile człowieka,
Co z przerażeniem w tej podziemnej ciszy
Zamierający własny krzyk swój słyszy
I czuje rozpacz, co nim jeszcze miota,
I całą gorycz zgonu i żywota.

1880

Dzisiejszym idealistom

Czyliż fałszywy wzbrania wam wstyd
Z obłoków zstąpić do ziemian?
I czynnie walczyć o dalszy byt
Wśród życia wstrząśnień i przemian?

Czyliż sądzicie, iż spadek wasz
Całą wam wieczność zapewni?...
Że odwracacie od ziemi twarz
Bezczynni, a jednak gniewni?

Wprawdzie bogaty wzięliście dział,
Przyjąć dziedzictwo gotowi -
Lecz on na zawsze nie będzie trwał,
Gdy zasiew żniwa nie wznowi.

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki...
Temu dowództwo odbierze świat,
A mienie - wydrą wypadki!

Do tych należy jutrzejszy dzień,
Co nowych łakną zdobyczy -
Kto się usuwa w ciszę i w cień,
Ten się do żywych nie liczy.

Dziś hasłem walka - i trudno już
Milczeniem przeczyć jej skrycie.
Dziś trzeba zstąpić w sam środek burz,
Potrzeba walczyć o życie!

Na próżno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia,
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

Lecz i tu - walka powszechna trwa,
Podległa duchów potrzebie.
A ten zwycięzcą - kto drugim da
Najwięcej światła od siebie!

7 lipiec 1877

Na grobie Wincentego Pola

Ciebie, ach, duchy zawiody łaskawe
Do zdrojów przeszłej pokoleń wielkości
I moc ci dały dawną wskrzesić sławę,
I ubrać w ciało rozsypane kości.

Na znak twój - przeszłość uśmiechnięta wstała
I kipi życiem rycerskiej drużyny;
W bojowym szyku proporce rozwiała,

Znów na oreżne gotując się czyny.

Znów chrzesczą zbroje i husarskie skrzydła,
I z wzdętą piersią arabskie rumaki
Rwą się do boju pomimo wędzidla,
I przelatują jak huragan jaki!

Szlacheckie dworki wypełnione zgiełkiem,
Braterskie uczty, sejmiki i kłótnie -
Wszystko to miga tęczowym światelkiem,
Drży w tonach pieśni uroczco i smutnie.

Wszystko powstało i wszystko ożyło!
Bo śmierć jest kłamstwem, w które nikt nie wierzy
Natchnione serca znajdą pod mogiłą
Gotowych w szranki powrócić rycerzy.

Tyś znalazł słowa zaklęć, co z błękitu
Zniknione mary na świat przywołały -
A więc stać będziesz kolumną granitu:
Pomnikiem polskiej i pieśni, i chwały.

1873

W dwudziestopięcioletnią rocznicę powstania 1863 roku

*współuczestnikom poświęca
autor*

Ruchliwe fale czasu nie zatarły
Twych krwawych śladów, o nieszczęścia roku!
Dotąd w swej grozie posępnej zamarły
Ciężysz nad nami - i z przeszłości mroku
Przez lat szeregi kroczysz, widmo blade,
Wlokąc za sobą, jak całun - zagładę.

Wieleż to razy ciebie przeklinano,
A z tobą marzeń zdradliwych ponętę;
Za każdą świeżą z ręki wroga raną
Zawsze twe imię wracało przeklęte
I zamrażało żywsze serc porywy
Krzykiem zwątpienia i bojaźni mściwej.

Z twoich doświadczeń czerpano nauki
I niewolnicze wysławiano cnoty,
Gaszono skrzętnie święty żar - dopóki
Męskim zapalem tchnęła pierś heloty,
Sądząc, że lekiem najlepszym na rany
Jest gwałt polskiemu uczuciu zadany.

Za twoje grzechy Polskę z mieczem w dłoni
Z szat obnażono jak jawnogrzesznicę

I uragano, że praw swoich broni,
I z ran szydzono, i plwano jej w lice,
I z czci ją chciano odrzeć do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka!

Wszystko to w spadku zostało po tobie:
Grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha,
Bunt tych, co widząc malejące już ciało,
Śmieli doradzać samobójstwo ducha -
I więzy, które mocniej się nam wpiły,
I łzy pałace... i wstyd... i mogiły...

A jednak pamięć obchodzimy twoją,
Jak ci, co dawno z niedolą zbratani,
Nieszczęściu w oczy spojrzeć się nie boją
I nawet z ciemnej wynoszą otchłani
Tę nieśmiertelną nadzieję, co z dala
Pracę pokoleń wiąże i utrwała.

My obchodzimy twą rocznicę smętną,
Bo dawnych zwycięstw święcić dziś nie śmiemy;
Niewolnik, hańby swej noszący piętno,
W rocznicę chwały ojców stoi niemy -
A tylko ta mu droga jest i święta,
W której sam skruszyć chciał krzywdzące pęta.

My obchodzimy w twym żałobnym święcie

Najbliższą z naszych dziejowych pamiątek
I rycerskiego rapsodu zamknięcie,
Tego rapsodu, co jak krwawy wątek
Przebiegał dziejów pogrobowych kartę,
Zbrojąc wciąż serca pokoleń uparte.

Boś ty nie przyszedł jako klątwa nieba
Ani nie spadłeś jak grom niespodzianie,
Lecz jak duchowa narodu potrzeba
W krwawej wypadków wypłynąłeś pianie -
Aby ostatnim orężnym protestem
Zapisać w dziejach nieśmiertelne: jestem!

Ty byłeś dzieckiem ostatnim epoki,
Która tradycję przechowując żywą,
Z dumnej przeszłości czerpała swe soki
I, wolnych marzeń snując wciąż przedziwo,
Ku zmartwychwstaniu stale naprzód biegła -
Tak jeszcze bliska... a tak już odległa.

Nad tą epoką jaśniał jeszcze w górze
Duch niepodległej ojczyzny widomy,
Jeszcze francuskiej rewolucji burze
Świat wstrząsające rozrzucały gromy,
I biła na nią krwawych światła fala
Z wojennych ognisk „małego kaprała”.

To pokolenie, które wówczas wzrosło,
Dni Listopada było niedalekiem
I swoich ojców rycerskie rzemiosło
Z krwią wzięło w spadku - i wyssało z mlekiem
Żywą tradycję krótkiej zwycięstw chwały
I majestatu Polski zmartwychwstałej.

W cudownej przed nim spływały legendzie
Postacie wodzów, strojne w liść wawrzynu,
Wieszczów krwawiących swe piersi łabędzie
I męczenników, rwących się do czynu -
Więzienia, groby, szubienice, krzyże
I śnieżna, mroźna otchłań na Sybirze...

Więc silniej każde uderzało tętno,
I klątwa wieszczów na grunt padła żyzny,
Budząc gniew, zemstę i boleść namiętą
Nad poniżeniem i hańbą ojczyzny.
I wszystkie serca zbroiły się harde
W niewolniczego żywota pogardę.

Jeszcze ten łańcuch duszącej niewoli
Nie zatamował męskiego oddechu,
Jeszcze męczeńskiej naszej aureoli
Nie tknęło błoto urągania i śmiechu,
I pokutnicze nie straciły tłumy
Ostatnich błysków narodowej dumy.

Nie było nawet podówczas w zwyczaju
W dyplomatycznej ślizgać się zabawce,
W lada koniuszym lub dworskim lokaju
Zaraz ojczyzny upatrywać zbawcę
I tym, co jawnie wyparli się Polski,
Dawać na kredyt mandat apostolski.

Kiedy kto z wrogiem chciał wchodzić w konszachty
I stawiać złote zjednoczenia mosty,
Nie powiadano w gronie braci szlachty,
Że to mąż stanu, lecz że zdrajca prosty -
I nie wróżono nowej szczęścia ery,
Widząc na piersiach błyszczące ordery.

Jeszcze przybierać nie umiała Polska
Postaci gadu, co się u stóp czołga;
Wolała, żeby w drodze do Tobolska
Trupy jej synów unosiła Wołga -
Wolała ponieść ofiary najkrwawsze,
Niżby się miano wyprzeć jej na zawsze.

O! wtedy jeszcze nurtem tajnych koryt
Płynęły na świat idealne mary
I nadawały cudowny koloryt
Tkanej przez losy przędzy życia szarej,
A na niebiosach jaśniał blask nadziejski,

Niby wschodzącej znów gwiazdy betlemskiej.

Męki wygnania, tęsknoty sieroctwa
Tonęły w wielkim mistycznym zachwycie;
Sny mesjaniczne, natchnione proroctwa
Nad ziemią inne wytwarzały życie,
Gdzie rzeczywistość znikła sprzed oczu
W gwiazdzistym, sennym marzenia przeźroczu.

Pamiętam dotąd chwile owych wiosen,
Gdy serca nasze paliła tęsknota,
A bór nam szumem dębów swych i sosen
Śpiewał, jak stary pieśniarz wajdelota,
Rycerskie pieśni dawnej przodków chwały,
Które nas czarem swoim upajały.

Pamiętam dotąd, jak nam szmer strumieni,
Słowików śpiewy, powiew kwiatów woni
I zorza, która błękitny rumieni,
I wszystko wkoło wciąż mówiło o Niej,
O nieśmiertelnej, co w grobowcu czeka
Na odwalenie kamiennego wieka...

A w piersiach naszych z każdą chwilą rosła
Miłość bezbrzeżna, wyłączna, jedyna,
Co na swych skrzydłach duszę w błękit niosła,
Jakby do matki stęsknionego syna,

Z wiarą, że w górze poza chmur zasłoną
Ujrzy ją znowu - jasną i zbawioną.

Myśmy ją wszyscy przed sobą widzieli -
Cudowną postać w złotej gwiazd koronie,
W niepokalanej czystości i bieli,
Ze zmaz obmytą przez anielskie dłonie,
Z twarzą podobną do Najświętszej Panny
I blask z swych włosów siejącą poranny.

Każdy ją wieńczył w własnych rojeń kwiaty
I jej piękności odczuwał inaczej,
Każdy w odmienne ubierał ją szaty -
Lecz nikt nie wątpił, iż po dniach rozpaczy
Nadpłynie w blasków różanych powodzi
I swą pięknnością cały świat odmłodzi.

Więceśmy ręce do niej wyciągali,
Wołając: „Zstępuj z błękitów, królowo!
Krzywdy nędzarzów zważ na prawa szali
I sprawiedliwość wymierz im na nowo,
Zawieś miecz pomsty nad fałszem i zbrodnią
I bądź ludzkości gwiazdą znów przewodnią.

My ci pod stopy ciała swe uścielem,
Abyś stanęła na nich jak na tronie
I praw zgwałconych stała się mścicielem,

Z błogosławieństwem wyciągając dłonie
Ku tym, co cierpiąc niesłusznie skrzywdzeni,
Wzywają ciebie z czyścicowych płomieni.

My nic dla szczęścia swego, nic dla siebie
Nie pragniemy - nawet nie żądamy dożyć
Chwili, gdy z jutrznią zabłyśniesz na niebie.
Chcemy na zawsze w prochu się położyć
I za swe wiano wziąć niepamięć wieczną,
Byłeś Ty jasność rozlała słoneczną”.

To wszystko teraz w przepaść się zapadło,
I już przeminął czas rycerskiej służby;
Z błękitów jasne zniknęło widziadło,
Umilkły wieszczce natchnienia i wróżby,
A burza nieszczęść strąciła nam z głowy
Nawet ostatni wieniec nasz - cierniowy.

Śpiewne serc głosy, idealne hasła,
Płomienne słowa, mistyczne zachwyty
Przebrzmiały - lampa cudowna zagasła,
Na ziemię runął ideał rozbity...
I w naszych oczach rozpadło się w gruzy
Tęczowe państwo romantycznej muzy.

Prąd czasu innym popłynął korytem,
Nastąpiła nowa epoka, żelazna,

Która wciąż ziemskim zaprzątnięta bytem,
Niebiańskich widzeń słodczy nie zazna
I tylko w ziemi wnętrzościach się grzebie,
Zajęta myślą o codziennym chlebie.

Uboga duchem i uczuciem skąpa,
Dokoła cień swój roztacza ponury,
Ciężko po ciałach swoich ofiar stąpa -
I chciwą dłonią szarpiąc pierś natury,
Pragnie zasłonę zedrzeć tajemniczą,
Za coraz nową zdążając zdobyczą.

Choć na chorągwi kładzie prawdy znamię
I ludzkiej wiedzy skarbnicę bogaci -
Czynami swymi wiecznym prawdom kłamię
I fałsz podaje w misternej postaci,
I jadem zbroi węże i padalce,
By zwyciężały w strasznej o byt walce.

Nastała nowa epoka, z obliczem
Nieubłaganem, lodowatym, chmurnym;
Jej bóg jest owym, nie wzruszonym niczem,
Pożerającym swe dzieci Saturnem -
A jej religia, dziką tchnąca grozą,
Drapieżnej siły jest apoteozą.

Z nową religią nowi są prorocy,

Co słabszym niosąc wyrok unicestwień,
Głoszą królestwo gwałtu i przemocy,
I ewangelię plemiennych rozbestwień,
Jako pociechę wskazując w rozbięciu
Nędzę i nicość i w śmierci, i w życiu.

Pod ich chorągwie spieszą ludzie nowi,
Widząc, że wiara przeszłości zawiodła -
Urażać czystych poświęceń duchowi,
Kruszyć braterstwa i wolności godła,
Przed złotym cielcem korzyć się tyranii -
Panmoskwicyzmu albo pangermanii.

I u nas przyszło nowe pokolenie,
Wpatrzzone w ziemię z chłodem i rozwagą,
Pragnące teraz na dziejowej scenie
Odgrzebać z gruzów rzeczywistość nagą,
Podstawę bytu, mniej od dawnej chwiejną,
By na niej znowu budować kolejno.

W twardej nieszczęścia urobione szkole,
Zrzekło się marzeń zdradliwych słodczy;
Krepuje skrzydła młodości sokole,
W każdym porywie z siłami się liczy -
I wchodzi z prądem dziejowym w przymierza,
Biorąc w rachubę instynkt i moc zwierza.

Spragnione prawdy, za nią jedną goni,
Choćby nią miało zatruć czyste źródło,
Gdyż pragnie świeżej doszukać się broni,
Z którą by mogło przyszele staczać boje -
A w tej pogoni - stopą nieogłędną
Depcze wawrzyny, co na grobach więdną.

To pokolenie, milczące i smutne,
Daleko myślą od dawnych odeszło;
Oskarża serca miłością rozrzutne
I lekceważy ich zasługę przeszłą,
Nie wiedząc nawet, ile w niej się mieści
Wielkich poświęceń, cnoty i boleści.

Myśmy przez piękność, sercami odczuta,
W dobra i prawdy chcieli wejść krainę,
A oto kończym nasze dni pokutą,
Zbyt śmiałych lotów oplakując winę...
Nie może m jednak bez goryczy patrzeć,
Widząc, jak chcecie ślad przeszłości zatrzeć.

Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód wasz lodem spada nam na serce -
My błogosławim wam, rycerze młodzi,
Narodowego długu spadkobiercę,
I na trud przyszłych, mozolnych wyzwoleń
Niesiem życzenia gasnących pokoleń.

Idźcie, jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu
Ku coraz wyższym i jaśniejszym celom!
Szukajcie prawdy dla swego narodu,
Ażeby przez nią osiąść mógł helota
Stracone piękno i dobro żywota.

Lecz wiedźcie: prawda, której wy szukacie,
Jest jak Proteusz kryjący się zradnie,
Który wciąż swoje odmienia postacie,
Gdy śmiały nurek w głębi go napadnie,
I pokolenia ciekawych żeglarzy
Coraz to nową odpowiedzią darzy...

22-24 styczeń 1888

NAD GŁĘBIAMI [1894]

I

Zmiennego bytu falo ty ruchliwa,
Co nas unosisz po wszechświata toni!
Daremnie wzrok nasz za tym wszystkim goni,
Co pod powierzchnią twoją się ukrywa;

Choć nam w błyskawic blasku się odsłoni
Głęb niezmierna, ciemna i straszliwa...
Trudno nam dotrzeć spojrzeniami do niej
Przez pianę zjawisk, co po wierzchu pływa.

Próżno nad głębią schyleni - jej ciemnic
Obraz chwytamy, gdyż ruchliwa fala,
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic,

Własną twarz naszą ukazuje z dala,
I nasz widnokrąg cały się powleka
Rzuconym w wszechświat odbiciem człowieka.

21 listopad 1883

II

Wieczne ciemności, bezdenne otchłanie,
Co otaczacie tajemnicą życie!
Próżno was ciągle pytamy - milczycie,
Głuche na nasze skargi i wołanie.

Próżna ciekawość! próżne serca bicie!
Nikt odpowiedzi od was nie dostanie -
Chyba nam echo odrzuci pytanie,
Przywłóży myśli, tkwiącej w piersiach skrycie.

I nieraz biedni za prawdę bierzemy
Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,
Sądząc, że słyszy m tajny głos natury -

Lecz wszechświat stoi tak jak przedtem niemy,
I otchłań poty milczeniem nas drażni,
Póki nas w mrok swój nie wciągnie ponury.

28 listopad 1883

III

Łudząca Maja otworzy ci oczy,
Migając widzeń różnobarwną tęczą,
Splotami wrażeń zmysłowych otoczy
I siecią złudzeń usidli pajęczą.

Widzisz tłum zjawisk, co się wkoło tłoczy,
Słyszysz melodie, co ci w uszach dźwięczą,
I śniesz sen smutny, chwilami uroczy,
W którym cię widma zagadkowe dręczą.

Ścigając próżno przynęty zwodnicze,
Co się wciąż z twojej usuwają dłoni,
Pragniesz rozpoznać więzy tajemnicze

I swej piastunki zakryte oblicze;

Lecz ledwie rękę wyciągnąłeś do niej,
Łudząca Maja oczy ci zasłoni.

1894

IV

Jak ptaki, kiedy odlatywać poczną,
Bez przerwy ciągną w dal przestrzeni siną,
I horyzontu granicę widoczną
Raz przekroczywszy - gdzieś bez śladu giną...

Tak pokolenia w nieskończoność mroczną
Nieprzerwanymi łańcuchami płyną,
Nie wiedząc nawet, skąd wyszły... gdzie spoczną..
Ani nad jaką wznoszą się krainą.

W chmurach i burzy lub w blasku promieni,
Podległe skrytych instynktów wskazówce,
Lecą, badając wąski szlak przestrzeni,

Który im znaczą poprzedników hufce -
I tę przelotną grę światła i cieni,
Jaką w swej krótkiej zobaczą wędrówce.

1893

V

Gdy nas ciemności otaczają wszędzie,
W swej zacieśnionej zatrzymując sieci,
Wzrok nasz nie sięga za drogi krawędzie
I nie pytamy: Co za nią? jak dzieci.

Lecz niech kto światło na drodze roznieci -
To, choć wzrok szerszy widnokrąg posiędzie,
Dokoła miejsca, które blask oświeci,
Otchłań ciemności jeszcze większą będzie.

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę, jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzec możemy, jest niczym
Przed tym nieznanym, skrytym, tajemniczym,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

1892

VI

Na falach swoich toczy słońce miliony
Wieczny ocean bez dna i wybrzeży,
Którego nawet goniec uskrzydłony

Przestrzeni - promień świetlany nie zmierzy;

Ani fantazji młodej polot świeży,
Ani błysk myśli, na zwiady rzucony,
Do krańców jego nigdzie nie dobieży
I tajemniczej nie przedrze zasłony.

Nieskończoności łańcuch wyciągnięty,
Biegnać przez mroczne przestrzeni odmęty,
Wśród bezbrzeżnego znika nam ogromu,

Niemocą myśli przedwcześnie ucięty.
A z drugiej strony - ginie po kryjomu,
Gdzieś - w nieskończonej małości atomu.

9 kwiecień 1892

VII

Rzucone w przestrzeń złotych gwiazd kagańce,
Te wirujących światów zbiorowiska,
Skupione bytów chwilowych ogniska,
Ten cały ogrom, za którego krańce

Nie mogę sięgnąć, przygodni mieszkance -
Z nieskończoności toni bez nazwiska
Wzniósł się, podobny wirującej bańce,

Która na fali tęczy i pryska.

Niesie go z sobą ta nieznana fala,
Co, poza bytem będąc, byt okala
I wszystko z łona swego wyprowadza,

I nowe słońca w przestrzeniach zapala,
Gdy nią poruszy kierująca władza,
Co byt na głębiach nicestwa osadza.

1894

VIII

Noc, noc wieczysta, głuszą przedbytową
Otacza kręgi drgające istnienia -
Noc i pierwotny eter bez skupienia,
Bez związku z światów fizyczną budową,

Swą jednolitą nicość rozprzestrzenia,
Z której dopiero falę światów nową,
Wirami mgławic skłębionych pierścienia,
W przyszłości twórcze wyprowadzi słowo.

Noc, noc wieczysta! W jej bezwładnej czczości
Żaden istnienia odblask nie zagości;
Nic się nie zmienia, nie drga, nie posuwa

I nic nie mierzy tej pustej wieczności -
Tylko Duch świata bezustannie czuwa
I przysłych istnień z siebie nic wysnuwa.

1894

IX

Nieśmiertelności nie poszukuj w próchnie
Albo w czynnikach, co się wnet rozpręgą -
Nieśmiertelnymi nie są kość i ścięgno,
Ni żądz płomyki, które śmierć zadmuchnie.

Te dumne myśli, co się w głowie lęgną,
Pójdą na pastwę bladej przemian druhnie,
Jeśli za zlepek znikomy nie sięgną,
I osobistej sławy oddźwięk zgłuchnie.

Wszystko, co świeci w ludzkich cacek kramie,
Co przypadkowe, ułomne i liche,
Co nosi zachceń osobistych znamię,

Choć się przystraja w odrębności pychę,
Wraz z swą skorupą w prochy się rozłamie,
Na dno przepaści opadając ciche.

19 luty 1887

X

Tylko treść, która z całością się splata,
To, czego żaden trąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu miedza
Od wszystkich ogniw duchowych wszechświata;

To, co chwilowy zakres swój wyprzedza
I z życiem przyszłych pokoleń się brata,
Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza,
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata

I wszędzie siebie znajduje świadomie:
W minionych zmierzchach, w mgle przyszłych stuleci,
W sercach współbraci i światów ogromie,

I w każdym życiem drgającym atomie -
Ta jedna, z czasu wyplątana sieci,
Nieśmiertelnością poza grób uleci.

19 luty 1887

XI

Ileż to zgonów i narodzin ile
W krótkim dni naszych przechodzimy zakresie!
Tłum nowych pędów wciąż do życia rwie się,

Gdy to, co przedtem w pełnej kwitło sile,

Spada jak liście obumarłe w lesie...

Szybko mkną w przeszłość niepochwytne chwile,

A każda cząstki oderwane niesie

Z naszego wnętrza... i składa w mogile.

Wciąż coś przybywa i coś nam ucieka;

Myśli, uczucia rodzą się i giną;

Każdy dzień stwarza świeży kształt człowieka,

Który nad dawną wyrasta ruiną...

I tylko pamięć wiąże w całość jedną

Mgliste obrazy, co w przelocie bledną.

11 maj 1887

XII

Wzniosłe dążenia, szlachetne pobudki,

Rozpaczne walki, zgliszcza i cmentarze,

Róże miłości, uczuć niezabudki

I ukochanych jasne przedtem twarze -

We mgłach przeszłości nikną, jak sen krótki...

A czas powoli w pamięci zamaże

Najdroższe rysy i najcięższe smutki,

I echa wspomnień zgłuszy w dziennym gwarze.

Na próżno serce chce zatrzymać w głębi -

Gdy szron jesienny kurczy je i ziębi -

Wdzięczne obrazy błogości dziecięcej;

Próżno chce wskrzeszać bieg minionej chwili

I tych, co z nami wspólnym życiem żyli:

To, co już przeszło, nie powraca więcej!

11 maj 1887

XIII

Przeszłość nie wraca jak żywe zjawisko,

W dawnej postaci - jednak nie umiera:

Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko

I świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera

W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,

A grób proroka, mędrca, bohatera

Jasných żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi

Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;

Żywi nas zasób pracy plemion długiej,

Ich miłość, sława, istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

11 maj 1887

XIV

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki -
Wszystko w ocean jeden wspólny spływa,

Który zasila coraz dalsze wieki...
Z rzeszą zniknionych ciągle rzesza żywa,
Jako strumienie, mieszają swe ścieki
I jedna drugą ze sobą porywa.

Wszyscy są wspólną związani macierzą:
Umarli, żywi, wielcy czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub bliscy -

Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy!

1 czerwiec 1887

XV

Na dzieci spada win ojcowskich brzemie,
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza;
Kaźde gwałcające sprawiedliwość plemię -
Cierpień i nieszczęście ludzkości przysparza.

Złe, jak zaraza, w lot obiega ziemię...
A czy na sobie łachman ma nędzarza,
Czy też w książęcym kroczy diademie -
Zatrutym tchnieniem cały świat zaraża.

Wobec praw, światem rządzących wszechwładnie,
Nikt ujść nie może złych wpływów przekleństwa;
Kaźdemu w dziele część winy przypadnie

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
Bo kaźdy nosi w duszy swojej na dnie
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

7 czerwiec 1887

XVI

Dzień, w którym jeden z grzesznych braci koła,
Najświętsze prawa zdeptawszy niegodnie,
Rozpali krwawą pożarów pochodnię,

Widziadło mordów na ziemię przywoła

I zaćmi światła narodów przewodnie -

Dzień ten jest klęską dobrego anioła,

I ludzkość cała, chyląc kornie czoła,

Winna za syna pokutować zbrodnie;

Winna obchodzić we łzach i żałobie

Grzech, który nową klątwą ją obarczy

I zwróci z drogi ku jaśniejszej dobie...

Powinna szukać przeciw złemu tarczy,

Poznaniem prawdy potęgując w sobie

Miłość, co środków zbawienia dostarczy.

1 czerwiec 1887

XVII

Co złość zniweczy, co występki zburzy,

To miłość z gruzów na powrót postawi.

Upadła ludzkość z krwi i łez kałuży,

Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.

Myśl, która dobru powszechnemu służy,

Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,

Jak łańcuch w niebo lecących żurawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca,

I coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

1 czerwiec 1887

XVIII

Tak złe, jak dobre wspólną jest zdobyczą:
I ci, co czynem ewangelię głoszą,
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dziela się plonem i spadek dziedziczą;

I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.

Ten wzajemności twardy obowiązek,
Zależność losów i współnictwo winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałązek -

Utrwała wielki religijny związek,
Łączący członków rozpierzchłej rodziny
W Duchu, co wszystko ożywia - jedyny!

15 czerwiec 1887

XIX

Dopiero w związku z wszechświata ogromem
Człowiek granice istnienia rozszerza;
Na mocy swego z naturą przymierza
Już się nie czuje bezsilnym atomem,

Tonącym w wnętrzu nicestwa łakomem;
Lecz odzyskuje odwagę żołnierza,
Co wie, że za nim stoi armia świeża
I że świat cały jest dla niego domem.

Jako cząsteczka tej wielkiej potęgi,
Co się rozciąga w nieskończoność wszędzie...
Może ogarniać wszystkie widnokreśli,

Odczuć się w światów niewstrzymanym pędzie
I na tle czasu wijącej się wstęgi
Żyć w tym, co było, co jest i co będzie.

15 czerwiec 1887

XX

W nieprzerwalności zbiorowego bytu
Duch, współistnienia wieczystego świadom,
Może z spokojem, z jasnego błękitu
Swego pochodu przyglądać się śladom:

Cząstkowym zgonom, pozornym zagładom,
Burzliwej fali ciemnemu korytu,
Lecącym w otchłań stuleci kaskadom,
Pomrokom nocy i jutrenkom świtu.

Jemu nie wydrze błogiego spokoju
Ziemijskich męczarni małoduszna trwoga,
Nie wprawi w rozpacz dziki zamęt boju

Ani dziejowej klęski noc złowroga,
Gdyż mu widnieje pewna w przyszłość droga,
Gdzie śmierć jest stopniem wyższego rozwoju.

30 listopad 1887

XXI

W coraz to wyższe preradza się wzory
Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży;
Ledwie się w cieniu śmiertelnym pogrąży,

Wnet go z martwości świt rozbudzi skory.

Śmierć - to ciągłego postępu chorąży!
Który na nowe świat prowadzi tory,
Wschodzącym kielkom usuwa zapory
I z rzeszą istot w nieskończoność dąży.

Z jego opatrnej, choć surowej łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią

I w coraz nowe przystraja się blaski,
I coraz dalej mknąc na fali chyżej,
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

14 grudzień 1887

XXII

Naprzód i wyżej! przez ból i męczarnie,
Przez ciemną otchłań, przez śmierci podwoje,
Przez szereg istnień padających marnie
Lecą bez końca tłoczące się roje.

Senne zarodki, tkwiące w swoim ziarnie,
Głazy, zakute w bezwładności zbroję,
Czekają tęsknie na zbudzenie swoje,

Gdy je dreszcz życia przejmie i ogarnie.

Naprzód i wyżej! w gwiazdziste ogromy
Prąd życia coraz przyśpieszonym ruchem
Porywa z głębi bezwiedne atomy”.

I w to, co było i martwem, i głuchem,
Rzuca blask myśli, sam siebie świadomy,
Przenika światłem i wypełnia duchem.

4 styczeń 1888

XXIII

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,
Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły
I ten ich związek z dobrem świata ścisły,
I cel ich wieczny w swoją wcielisz wolę -

Wtedy swobodne masz do czynu pole:
Opadło jarzmo, więzy twoje prysły,
I jako czynnik chętny, niezawisły,
W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

Lecz gdy chcesz działać ku powszechnej szkodzie,
Gwałcić istotne zadania człowiecze -
Trudem Danaid wszelka twoja praca;

Jarzmo niewoli kark ci wtenczas bodzie,
Wyższa potęga przemocą cię wlecze
I przeciw tobie czyny twoje zwraca.

5 grudzień 1888

XXIV

Przez chwilę możesz ślepa być zaporą,
Niszczącą siłą, jadowitym lekiem,
Którym natura leczy ludzkość chorą -
Tama, rzuconą przed strumieni ściekiem,

Ażeby w wielkie rozlały jezioro,
A którą zaraz, z jutrem niedalekiem,
Wezbrane wody skruszą i zabiorą:
Tylko już wolnym nie będziesz człowiekiem!

Z wolności wieczne prawa cię wywłaszczą,
A tych nie zwalczysz żadną ziemską władzą -
Ni żądłem żmii, ni tygrysa paszczą.

Choć tryumf zgubnym twym dążnościami dadzą,
Z chwilą, gdy tajne cele przeprowadzą,
Wraz z tobą - dzieło twoje zaprzepaszczą!

5 grudzień 1888

XXV

Jako cząsteczka wszechświata myśląca,
Szukam w nim celu i o celu myślę -
Bo ten się wiąże z moim pojęciem ściśle,
Tak jak odczucie światła lub gorąca.

Znam tylko bowiem jedną z form tysiąca
Natury, w moim odbitej umyśle;
Sądzę ją z tego, co mi sama przyśle
I czym o władze mi dane potrąca.

Natura twórcza, wieczna, bezcelowa
Nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie -
Więc wiecznym prawom, co w swym łonie chowa,

I konieczności, co nas wszystkich łamie,
Ludzkiej dążności narzucamy znamię,
Na ludzki język tłumacząc jej słowa.

1894

XXVI

Pierwotną białość słonecznych promieni
Ziemski widnokrąg rozszczepia i łamie
Na chmurach, w tęczy różnobarwnej bramie -

I fala światła inaczej się mieni

W błękitach morza, w żywej łąk zieleni,
W złocistych łąkach i zórz krwawej plamie...
I każdy z kwiatów innej barwy znamię
W grze malowniczych odbija odcieni.

Podobnie światło prawdy w ziemskiej sferze,
Przez mgły spływając, w tęcze się rozwionie,
Gdy ludzkim duszom niesie blaski świeże;

Każda z nich w siebie inne barwy chłonie,
Każda za całość jedną cząstkę bierze:
Tę, którą sama w swym odbija łonie.

28 listopad 1888

XXVII

Smutny jest schyłek roku w mgieł pomroce,
Gdy wiatr jesienny zwiędłym liściem miota!
Ostatnie kwiaty, ostatnie owoce
Strąca i grzebie pod całunem błota.

Smutniejszy koniec bezsilny żywota,
Osamotnienie starości sieroce,
I długie, ciemne, pełne cierpień noce,

W których się ludzka rozprzega istota!

Lecz najsmutniejszy jest duchowy schyłek

Zamierającej powoli epoki -

Gdy wniwecz poszedł pokoleń wysiłek,

Strawiwszy wszystkie żywotniejsze soki,

A w spadku szereg błędów i pomyłek

Na dni ostatnie rzuca cień głęboki!

1888

XXVIII

Ci, którzy jasność żegnają zniklioną,

Gdy burza całe zniweczyła żniwo -

Nad spustoszoną rozpaczając niwą,

Myślą, że wszystko ciemności pochłona,

Dalszych rozkwitów mroząc siłę żywą.

Tymczasem pod tą ciemności osłoną,

Pod dobroczynną martwości pokrywą,

Tysiącem kielków drży już ziemi łono,

Ręką natury rozrzuconych skrzętną. -

W spowiciu nocy, w zimowej zamieci,

Bijące wewnątrz nie ustaje tętno.

I życie w głębi walką wre namiętą,
By się wydobyć, kiedy je oświeci
Brzask nowych wiosen lub nowych stuleci.

październik 1892

XXIX

Póki w narodzie myśl swobody żyje,
Wola i godność, i męstwo człowiecze,
Póki sam w ręce nie odda się czyje
I praw się swoich do życia nie zrzecze,

To ani łańcuch, co mu ściska szyję,
Ani utkwione w jego piersiach miecze,
Ani go przemoc żadna nie zabije -
I w noc dziejowej hańby nie zawlecze.

Zginać on może z własnej tylko ręki:
Gdy nim owładnie rozpacz senna, głucha,
Co mu spoczynek wskaże w grobie miękkiej -

I to zwątpienie, co szepcze do ucha:
Że jednym tylko lekarstwem na męki
Jest dobrowolne samobójstwo ducha.

7 styczeń 1884

XXX

Taką jak byłaś - nie wstaniesz z mogiły!
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie;
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie;

Musisz zatracić niejeden rys miły
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie...
Lecz nową postać wziąć i nowe siły
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu - widmem bładem,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem...

Lecz, przystrojona w królewski diadem,
Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
Musisz być inną, choć będziesz tą samą!

styczeń 1888

Na obchód Słowackiego

Poeto! oskarżono ciebie przed narodem,
Że kazałeś bezwładnym poruszać się bryłom
I po swej śmierci, niosąc pieśń jak sztandar przodem,
Prowadziłeś bezbronne zastępy na wyłom,
Gdzie bez nadziei zwycięstw lały krew obficie.
Jeśli to twoją winą, że budząca życie
Pieśń jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów ziemię
I na chwilę zwiększyła naszych nieszczęść brzemię,
Krwawe widmo ojczyzny wywołując z trumny -
Jeśli to twoją winą, że pchany rozpaczą
Naród zerwać chciał więzy - to możesz być dumny!
Ci, którzy ucierpieli najwięcej - przebaczą,
I Polska ci przebaczy, kochający synu,
I nie będzie dla ciebie żałować wawrzynu.
Bo święte hasła twoje - to nie hasła chwili,
Co przepadają marnie w ciężkich dniach rozbicia;
Wiara twa nie zawiedzie, miłość nie omyli,
Lecz poprowadzi naród do nowego życia.
Mylą się pokolenia w dróg swoich wyborze,
Jednak cel postawiony mylnym być nie może.
Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czymże byśmy dziś byli my, nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci,

Którym pan jego gardzi, chociaż czasem pieści.

Wprawdzie by nas żywiła szcudrzej polska gleba,
A plon nasz by nie poszedł na pastwę płomieni,
Wprawdzie byłoby lepiej tym zjadaczom chleba,
Którzy się tuczyć pragną, z losem pogodzeni,
Lecz nad przyszłością naszą noc by zaszła głucha
I naród cały został bez serca i ducha...

Że tak nie jest - to twoja, o poeto, wina;
Więc potomność już wyrok ogłaszać poczyna,
I laur, który od dawna tobie się należy,
Pośród nowych pokoleń bierzesz z rąk młodzieży.

17 marzec 1882

W dzień złożenia zwłok Mickiewicza na Wawelu

Gdy na ziemię padł sztandar zdeptany,
Znak królewski z orłem i pogonią,
Gdy go wodze i dumne hetmany
Już przed wrogów zniewagą nie bronią,
Gdy go w strzępki stargała niewola
I pokryła noc milczenia głucha...
On go pierwszy uniósł z walki pola
I zamienił w jasny sztandar ducha,

I nad Polską rozwinął w błękicie,
Dając w pieśni nieśmiertelne życie.

1890

Nie-bajka

Spadł z drzewa topoli pączek
I płynie z potoku pianą,
Na nim sieć osnuł pajęczek,
Czyha na muszkę schwytaną.

Próżno się z więzów wyrywa
I targa sprężyste nici;
Gdy się wysunie wpółżywa,
Pająk w objęcia ją chwyci.

Z wolna ją dusi i gnębi,
Zanim śmiertelny cios zada,
A pączek płynie ku głębi,
Gdzie nurt potoku w dół spada.

I wkrótce po muszki klęsce,
Gdy się już więcej nie broni,
Z ofiarą razem zwycięzcę
Wir wodny pogrążył w toni.

30 grudzień 1888

Historyczna nowa szkoła

Historyczna nowa szkoła
Swą metodę badań ścisłą,
Sprowadzoną hurtem z Niemiec,
Rozpowszechnia ponad Wisłą
I, nabywszy pogląd świeży,
Nowym łokciem dzieje mierzy.

Nie chcąc popaść w dawne błędy
Mesjanicznych, mglistych mrzonek,
Kolo polskich sztywnych karków
Określiła swój postronek,
By zgiąć bytu żądzę dziką
Przed dziejowych praw logiką.

Czcząc spełnionych faktów kolej
I zwycięzców chytre godła,
Nie spostrzegła, że cześć siły
Za daleko ją zawiodła,
I że z rąk jej rozbiór Polski
Wziął chrzest misji apostolskiej.

W pełnym świetle jej dochodzeń
Jasną gwiazdą lśni despotyzm
I wychodzi czysto na wierzch
Targowicy patryjotyzm...

Gdyż Kościuszko to był wariat,
Co buntował proletariat!

I tak dalej... i tak dalej...
Coraz śmielsze wnioski przedzie
I, nicując dawne sądy,
Nie powstrzyma się w zapędzie,
Aż dowiedzie, że król Herod
Dobroczyńcą był dla sierot.

kwiecień 1890

Sztuczne kwiaty

Fabrykacja sztucznej flory
Z wielką prawdą dziś oddaje
Roślinnego świata wzory
I odmienne ich rodzaje.

Każdy nawet kwiat najrzadszy
Naśladuje zręcznie sztuka -
Kto się dobrze nie przypatrzy,
Bardzo łatwo się oszuka.

I w poezji wdzięcznych kwiatach
Wzmógł się przemysł - gdyż je sztucznie
Wyrabiają na warsztatach
Wyzwolonych kunsztów ucnie.

Odtwarzają nader wiernie
Układ, barwę i kształt wszelki,
Płatki koron, listki, ciernie,
Nawet lśniące roś kropelki.

Pierwszorzędnych firm wyroby,
Posiadając wiele zalet,
Służyć mogą do ozdoby
Salonowych dam toalet.

Fabrykaty mocne, tanie,
Pełne smaku i świeżości,
Zasłużyły na uznanie
Eleganckiej publiczności.

Znaczny zapas jest do zbycia
Doskonałych tych towarów -
Nic im nie brak... oprócz życia
I poezji słodkich czarów!

1894

KWIATY

Niezabudki kwiecie

Niezabudki wdzięczne kwiecie
Ona dała mi,

Gdym anielskie żegnał dziecię,
Ciche tłumiąc łzy.
I mówiła, kryjąc twarz:
- „Luby! wrócisz przecie?
Ja cię czekam... wtedy dasz
Niezapudki kwiecie.

Wszak mówiłeś, że me oczy
Jasne jak ten kwiat,
Gdy się po nich łezka toczy
W dziwny marzeń świat;
Mego życia rajski sen,
Wzięłeś sen uroczy -
Bierz więc łzawy kwiatek ten,
Pomnij na me oczy.

Kiedy smutek cię przemoże,
Gdy cię złamie ból -
Porzuć góry, porzuć morze,
Wracaj do tych pól.
Ja jak teraz moje skroń
Na twych piersiach złożę,
Mej miłości czysta toń
Głębsza niżli morze.

Gdybyś długo błądził w świecie
I po przejściu burz

Znalazł dziś ci miłe dziecię
W cichym grobie już -
Idź, o luby, na mój grób
W noc miesięczną w lecie,
Rzuć, spełniając dawny ślub,
Niezapudki kwiecie”.

Odjechałem. Dnie mijały,
Nadszedł smutku dzień;
Wszystkie moje ideały
Pierzchły jako cień,
Jeden tylko wierny mi
Został kwiatek mały,
A z nim pamięć lepszych dni,
Senne ideały.

Życie łało gorzkie męty
W kielich duszy mej,
A ja szedłem uśmiechnięty,
Bo wierzyłem jej!
Dwoje oczu, gwiazdek dwie,
Jak talizman święty
Prowadziło w przyszłość mnie,
Szedłem uśmiechnięty.

I ostatnie blaski złote
Snuła zycia łódź...

Gdym w niebieską wstąpił grootę,
Echo rzekło: wróć!
Więc rzuciłem wzrokiem w dal,
Opuściłem grootę,
I wędrując pośród fal,
Snułem blaski złote.

Raz, ach! śniłem sen proroczy,
Że ją widzę tuż:
Ma zamknięte martwo oczy,
Wieniec z białych róż,
Drżąca rączki trzyma w krzyż,
Kwiaty wśród warkoczy -
Więc spytałem: „Czemu drzysz
I zamykasz oczy?”

Nic nie rzekła, lecz z westchnieniem
Stopniała we mgle...
Jam się zbudził z przerażeniem
I wróżyłem źle;
Ach, myślałem, ona to
Przyszła marnym cieniem,
Osłonięta grobu mgłą,
Żegnać mnie westchnieniem.

Nigdy jej nie ujrzę zatem!...
I ostatnia nić,

Co wiązała mnie ze światem,
Pękła... Mamże żyć?...
Pójdę tylko na jej grób
W noc miesięczną latem
I wypełnię dawny ślub,
Co mnie wiąże z światem.

Popędziłem jak szalony,
Serce łamał ból...
Gdym się zbliżał w znane strony,
Do rodzinnych pól -
Nad strumieniem, gdzie mi kwiat
Dała łąką zroszony,
Powitałem wspomnień świat,
Biegnać jak szalony.

Aż wtem nagle widzę dwoje
Nad zwierciadłem wód,
Jak zrywają kwiaty moje,
Kwiaty drogie wprzód;
Dziewczę skryło swoje twarz
W jego płaszczu zwoje,
I widziałem, Boże skarż,
Ich w uścisku dwoje!

Jak statua Laokona
Stoję słupem wciąż,

A myśl dziwna, że to ona,
Kąsa mnie jak wąż...
Aż nareszcie, Boże skarż,
Odchylił ramiona -
Odwróciła swoje twarz -
Ach!... to była ona!

Wkrótce potem - ha, co chcecie,
Kiedy za mąż szła,
Prowadziłem rajske dziecię
Do kościoła... Ha!
Tylko na pamięci znak,
W noc miesięczną w lecie,
Na weselu wpiąłem w frak
Niezapudki kwiecie.

Tak się skończył sen miłutki
I ostatnia nić...
Zwiędły kwiatek niezabudki
Przestał w sercu żyć;
Powróciłem w ciemne mgły,
Unosząc swe smutki,
I nie wierzę dziś już w sny
Ani w niezabudki!

19 listopad 1867

Bławatek

Jaki to chłopiec niedobry!
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie,
Muszę się gniewać na niego,
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek
I przypiął sobie do piersi
Skradziony kwiatek.

I jeszcze żartował ze mnie,
Gdym się żaliła na psotę,
Bo mówił, że ma coś więcej
Ukraść ochotę.

Że oczy moje piękniejsze
Niżli ten kwiatek niebieski,
Że chce pić rosę z bławatków,
A z oczów łezki.

I mówił dalej niegrzeczny,
Że mnie rodzicom ukradnie,
Tak straszyć kogo, doprawdy
Że to nieładnie.

Chciałabym gniewać się bardzo! -
Nie widzieć więcej... ach! trudno;
Wiem, że mnie samej bez niego
 Byłoby nudno.

Ale go muszę ukarać,
Podstępna na to użyję:
Będę umyślnie płakała,
 Niech łezki pije!

29 czerwiec 1868

Stokrotki

I

Jakże żałuję tej szczęśliwej pory,
Kiedy stokrotki kwiatek pospolity
Zdał mi się w cudne ubranym kolory
I budził w sercu dziecinne zachwyty,

I kiedy długie majowe wieczory
Spędzałem, patrząc w Jasnych ocz błękity,
Cichego szczęścia pełen i pokory,
Bijący sercem, a nigdy niesyty.

A choć to było kwiecie takie skromne,
Nigdy się z prawdą marzeń nie rachowałam,
Bom miał rozkoszą serce nieprzytomne;

I kiedym usta różane całował,
Tom nic nie pragnął i nic nie żałował -
I dziś drzę jeszcze, gdy tę chwilę wspomnę...

II

Później, ach, wiele kwiatów egzotycznych
Widziałem, pełnych piękności i woni.
Dużo heroin znalazłem poetycznych,
Niosących uśmiech, łzy i serca w dłoni...

A przecież żaden z tych kwiatów rozlicznych
Wspomnieniem szczęścia mnie teraz nie goni,
I z tych postaci wzniosłych, eterycznych,
Od melancholii żadna mnie nie broni!

Bom się nie spotkał już z tym upojeniem,
Co jedno drogę do szczęścia otwiera,
Bez względu, czy jest prawdą, czy złudzeniem.

Bez niego serce powoli zamiera
I z ideałów blade maski zdziera,
I żegna zwiędłe stokrotki westchnieniem...

9 marzec 1869

Róża

Ach ta róża! ach ta róża!
Co się w twoje okno wdziera,
Na pokusy mnie wystawia,
Sen i spokój mi odbiera...

Wciąż z zazdrością myślę o niej,
Choć jej nie śmiem dotknąć ręką,
Bo mnie gniewa, że bezkarnie
Patrzy nocą w twe okienko.

Rad bym nieraz rzucić wzrokiem,
Błądząc w wieczór po ogrodzie,
Rad bym dojrzeć... ale zawsze
Stoi róża na przeszkodzie!

Ona winna! ona winna!
Że ciekawość moją drażni,
Bo gdzie sięgać wzrok nie może -
Sięga siła wyobraźni.

Odtwarzając piękność twoją,
Coraz bardziej tracę głowę,
Zamiast pączków - zawsze widzę
Twe usteczka karminowe.

A gdy jeszcze wonne kwiaty
Poosrebrza blask księżycy,
Wtedy, wtedy w każdej róży
Widzę tylko twoje lica.

A myśl coraz dalej biegnie -
I wypełnia postać cudną,
I odsłania wszystkie wdzięki...
Bo fantazję wstrzymać trudno.

Widzę ciebie na wpół senną,
Snem rozkoszy rozmarzoną,
Widzę włosów splot jedwabny,
Śnieżną falą drżące łono

I te usta, co miłośnie
Wpółotwarte - chcą czarować;
I rozważam: co za rozkosz
Takie usta pocałować!

Krew się ogniem w żyłach pali,
Chcę ten obraz pieścić wiecznie...
Lecz przy róży - pod okienkiem
Stać młodemu niebezpiecznie.

Gdybym tylko mógł być pewny,
Że cię, piękna, nie oburzę,

Byłbym, byłbym już od dawna
Pod twym oknem zdeptał różę.

23 marzec 1869

Powój

Niejedna wesoła piosenka
W wiosenne wieczory lub ranki
Wybiega z tego okienka,
Strojnego w białe firanki.

I śmiechu srebrnego kaskada,
Ach, nieraz! z owego pokoju
Spłynęła w okna sąsiada
Po wiotkich splotach powoju.

Natenczas ja byłem studentem,
I boski zajmował mię Plato,
I nad niejednym fragmentem
Ślęczałem zimę i lato.

Myślałem, pracując tak pilnie
I pisząc uczone rozprawy,
Że się dorobię niemylnie
Wiedzy, znaczenia i sławy.

Zły sąsiad, zły sąsiad był ze mnie!
Siedziałem jak więzień za kratą
I kląłem w duchu tajemnie
Sąsiadkę, piosnki i lato.

I nigdy nie patrzyłem w okienko,
Choć nieraz w niedzielę lub święto
Mignęła białą sukienką,
W powoju kwiaty upiętą.

Na próżno wesoła figlarka
Rzucała do okna mi kwiatki,
Brałem do ręki Plutarka,
Strzegąc się psotnej sąsiadki.

Dziś znowu po trudach i znoju,
Po wielu minionych już latach -
Mieszkam w tym samym pokoju
I myślę czasem o kwiatkach.

Nie myślę już więcej o sławie
W tej biednej izdebce pod dachem,
Lecz patrzę w okno ciekawie,
Pojąc się wiosny zapachem.

Daremnie wyglądam, daremnie!
Dziś nic mi spokoju nie skłóci;

Ja jednak wzdycham tajemnie,
Cisza mnie gniewa i smuci.

Ach! teraz już puste okienko!
I nie ma w nim białych firanek!
Nikt mnie nie wabi piosenką
W majowy wieczór lub ranek.

I śmiechu nie słychać srebrnego,
I wszystko już leży w ruinie -
Ja wzdycham, sam nie wiem czego,
Myśląc o psotnej dziewczynie.

Zaginął ślad mojej sąsiadki,
I tylko zwieszony kapryśnie
Powój przynosi mi kwiatki,
Do okna gwałtem się ciśnie.

I motyl przyleci czasami
Pić słodycz z jasnego kielicha;
A ja się patrzę ze łzami,
„Gdzie ona?” - pytam go z cicha.

Wspomnienie przeszłości pierś tłoczy,
Aż wreszcie żalami wybucha;
A motyl patrzy mi w oczy,
Na kwiatkach siedzi - i słucha -

I szemrze, miód pijąc z kielicha:
„Wszak mogłeś i kochać, i marzyć?
Kto napój szczęścia odpycha,
Ten nie ma prawa się skarżyć”

1869

Lilie wodne

Taki spokój rozlany w naturze,
Niebo takie czyste i pogodne -
Na jeziora przejrzystym lazurze
Zakwitają blade lilie wodne;
Zakwitają i z schyloną twarzą
Za czymś tęsknią i gonią, i marzą.

Sierp księżycyca przegląda błyszczący
Przez nadbrzeżne sitowia i trzciny,
Łódka płynie po fali milczącej -
Na niej chłopiec patrzy w twarz dziewczyny,
A ta główkę rozmarzoną skłania,
Czyniąc jemu dziwne zapytania:

„O czym marzą owe lilie smutne,
Zatopione w podwójnym błękicie?
Czy jak duchy jeziora pokutne
W śnie kwiecistym nowe biorą życie?
Gdzie je znowu w jasny wieniec wplata

Idealna twórcza piękność świata?

Czy też może służyć za dyjadem
Utopionej w jeziorze dziewicy?
Albo tylko są odbiciem bladym
Ludzkich tęsknot wiecznej tajemnicy,
I dlatego sen życia je pieści
Echem naszych pragnień i boleści”.

„Ty się pytasz, mój biały aniele,
O czym marzą owe kwiaty senne?
W naszych piersiach kwitnie uczuć wiele,
A nie wiemy, gdzie biegną promienie,
I związani ze ziemią łańcuchem,
Nic nie wiemy, gdzie płyniemy duchem.

Wiemy tylko, że w ciągłej pogoni
Za tą marą piękności bezwzględnej
Rozsiewamy kwiaty pełne woni,
Które kwitną chwil kilka i więdną,
Ale w każdym w krótkiej trwania dobie
Zostawiamy jakąś myśl po sobie”.

„Ja bym chciała - dziewczę się ozwało -
Mój sen życia powstrzymać w swym biegu
I zakwitnąć taką lilią białą,
Pełną woni na jeziora brzegu;

I nie ponieść żadnej serca straty,
Lecz tak zwiędnąć jako wędną kwiaty.

Ja się lękam w ciemną przyszłość płynąć
I utracić rajskich marzeń jasność;
Wolę raczej w chwili szczęścia zginąć
I twą miłość wziąć z sobą na własność,
I być pewną, że się nic nie zmieni
W blasku naszych wewnętrznych promieni”.

„Niech cię przyszłość, najdroższa, nie straszy!
- Odparł młodzian, topiąc wzrok w błękicie -
Myśmy najprzód już w miłości naszej
Zaczerpnęli nieśmiertelne życie
I możemy iść dalej bezpieczni,
Że się sen nasz za światem uwieczni.

Los nas może na zawsze rozłączyć,
Wyszukiwać męczarnie najrzadsze,
Może w serca truciznę nam sączyć -
Tych chwil szczęścia on jednak nie zatrze!
I zostawim nad swoją mogiłą,
Co nam spójnią nieśmiertelną było.

Może także nad tonią błękitną,
Tu gdzie teraz rozmawiamy z sobą,
Takie lilie znów po nas wykwitną,

Naszych losów owiane żałobą,
I w niebiosa patrząc się pogodnie,
Będą o nas marzyć lilie wodne”.

1869

Fijołki

Te fijołki, co mnie nęcą,
Te nie siedzą skryte w trawie -
Lecz spod długiej, ciemnej rzęsy
Patrzą na mnie tak ciekawie.

Spod tej rzęsy, co ocienia
Piękniej niżli traw zieloność,
W niebieskiego mgie spojrzenia
Patrzy na mnie nieskończoność.

Niezmierzona, dziwna głębia!
W niej się wszystko, wszystko mieści:
Wymarzone senne skarby,
Czarodziejskich raj powieści.

Ale na tych skarbach wróżka
Położyła swe pieczęcie,
Strzeże ocząt i serduszka
Sen cudowny i zakłęcie.

I te oczy drzemią jeszcze
Otoczone tajemnicą,
Choć z nich czasem błysnie płomień
Jedną, wielką błyskawicą.

Spod spuszczonej skromnie powiek
Widać jakby jutrznię nową...
O, szczęśliwy stokroć człowiek,
Kto odgadnie zaklęć słowo!

Szczęśny, komu się otworzą
Pełne blasku i pieśczoły! -
Wędrowałbym na kraj świata,
Byle znaleźć ów klucz złoty.

O fijołki! lube, zradne!
Troska dręczy mnie surowa -
Bo ja zginę i przepadnę,
Nie znalazłszy zaklęć słowa.

[21 październik 1871]

Pierwiosnki

Dziewczę pierwiosnki zbierało,
Wesołe piosnki śpiewało,

A głos jej płynął po rosie,
W dalekim ginał rozgłosie.

Śpiewała o młodym maju,
Co się przechadza po gaju;
Jak zima przed nim ucieka,
A on jej grozi z daleka,
Rozrzuca jasność i kwiecie
I tak króluje na świecie.
Śpiewała o tej młodzieży,
Co się dziś bawi w żołnierzy;
Jak ją widziała po błoniu,
Przelatującą na koniu.
Za co się bije, to nie wie,
Lecz dobrze życzy jej w śpiewie.
A dalej o Matce Boskiej,
Co się zjawiała wśród wioski
I ludek ciemny poucza,
Co mu najbardziej dokucza
I kto dla niego jest wrogiem,
I kto odpowie przed Bogiem.
Śpiewała dalej, że z czasem
Stanie lud cały pod lasem
I pożałuje te dziatki,
Co giną jak ścięte kwiatki,
Jako pierwiosnki narodu
Za wcześnie zesze wśród lodu.

Lecz przecie śniegi roztają,
Sioła się kwieciem umają,
I lud jak ze snu zbudzony
Stanie dla kraju obrony,
I w wielką zebrany chmarę
Pociągnie za kraj i wiarę.

Kiedy tak śpiewa, zza krzaków
Wypada sotnia kozaków,
I woła oficer dziki:
„Dziewczyno, gdzie buntowniki?
Pokaż nam drogę, dziewczyno,
Niech te psy marnie wyginą!”
„Bóg cię ukarze, Moskalu -
Odpowie dziewczyna w żalu -
Że na krew ludzką tak chciwy
Krwia zlewasz spokojne niwy
I smutne kładziesz pokosy
Zabitych na leśne wrzosi...
Ja nie wiem, co to za jedni,
Lecz znałam w wiosce sąsiedniej
Matki okryte żałobą,
Więc ich nie zdradzę przed tobą”.

Słyszac to starszy z siepaczy
Dobyl janczarki kozaczej
I kulą poslal jej z dala

Odpowiedź godną Moskala.

A twarz dziewczyny pobladła,
U stóp leszczyny upadła,
Krwia się pierwiosnki oblały,
Na ustach piosnki skonały.

26 listopad 1867

Gałązka jaśminu

Tam, pod niebem południa pałacem,
Szło ich dwoje po mirtów alei,
Słów namiętnych rzucając tysiącem;
Lecz nie było tam słowa nadziei.
Pożegnanie ostatnie na wieki...
To trwa długo... I wstał księżyc blady,
A westchnienia powtarzał daleki
 Szum płaczącej kaskady.

Obcy młodzian opuszczał dziewczynę,
Co jak powój w jego serce wrosła,
I porzucał słoneczną krainę,
Lecąc na śmierć, gdzie rozpacz go niosła.
Więc targając serdeczne ogniwa,
Czuł, że serce z swej piersi wydziera
I że młodość ta jasna, szczęśliwa,

W jej uścisku umiera.

Biedne dziewczę zrozumieć nie zdoła,
Że jest wyższa nad miłość potęga,
Że głos smutny, głos grobów anioła,
W jej objęciach go jeszcze dosięga -
Więc się skarży jak dziecię pieszczone:
- „O niedobry, jak mnie możesz smucić!
Twoje słowa mnie ranią szalone,
Nie mów, że chcesz mnie rzucić!

Cóż mieć możesz na ziemi droższego
Nad mą miłość?... Gdy ta cię nie wstrzyma
Idź...” Tu głosu zabrakło drżącego,
I spojrzała smutnymi oczyma:
- „Patrz, me serce omdlewa mi w łonie,
Łez mi braknie i w oczach mi ciemno...
Masz tam ginać gdzie w dalekiej stronie,
To umrzyj razem ze mną!

Tak, o dobrze! Nie będę po tobie
Więcej płakać ni gorzko się smucić,
Ale razem w jednym spocznie m grobie,
I nie będziesz już mnie mógł porzucić;
Wieczność całą prześnimy tak błogo,
I przebaczy nam Bóg miłosierny!...
Ja prócz ciebie nie mam tu nikogo,

A ty idziesz, niewierny!?

Nie chcesz umrzeć i nie chcesz żyć razem?.

Idź szczęśliwy! Twa kochanka biedna

Przed cudownej Madonny obrazem

Szczęście tobie u Boga wyjedna.

Teraz jeszcze mej proście serdecznej

Uczyni zadość, bo cierpię ogromnie,

Gdy pomyślę, że w rozłące wiecznej

Możesz zapomnieć o mnie.

Tyś tak lubił wonny kwiat jaśminu,

Ja go odtąd na mym sercu noszę...”

I odpięła chusteczkę z muślinu,

Mówiąc dalej: „Weź gałązkę, proszę,

A ta druga na sercu zostanie;

Mówić będzie o tobie, jedyny!

Gdy nie przyjdiesz na moje wołanie -

Łzą się zroszą jaśminy...”

I oparta na jego ramieniu,

Wpółzemdlona, kwiaty do ust ciśnie;

I tak stoją oboje w płomieniu,

I ust dwoje na kwiatach zawiśnie -

Aż nareszcie wydarł się z objęcia

I rzekł do niej: - „O żegnaj mi droga!

Gdy mię twoje nie zbawią zaklęcia -

Spotkamy się u Boga!

Ja nie mogę pozostać przy tobie,
Choć twój jestem na wieki, dziewczyno!
Bo mnie duchy wzywają w żałobie,
Bym szedł z tymi, co mamie dziś giną.
Słyszę okrzyk z krwawego zagonu,
Słyszę matkę wołającą: Synu!
Lecz zachowam, zachowam do zgonu
Tę gałązkę jaśminu...”

3 grudzień 1867